

"SZARA"

/relacja spisana z taśmy/ + uzupełniona ustnie

Urodziłam się w Brzesciu n/Bugiem w 1913r. Pochodzę z rodziny inteligencji pracującej. Ojciec mój miał na imię Antoni, matka - Maria. Ojciec był ziemianinem, grodnianinem. Za udział dziadka w powstaniu styczniowym majątek rodzinny - Kulbaki - skonfiskowano.

Rodzice po moim urodzeniu wyjechali do Charkowa, ponieważ ojciec pracował w firmie Erickson, której biuro zostało ewakuowane najpierw do Brzescia, a potem do Charkowa. W 1920r. były tam ogromne aresztowania Polaków. Pewnego dnia obudziłam się i okazało się, że zostałam tylko z babcią, a mój ojciec, mama, niania, ciocia i brat zostali aresztowani /brat miał w^eówczas 16 lat/. Mamę i nianię wypuścili po tygodniu a ojciec, ciocia i brat siedzieli trzy miesiące. Pamiętam, jak chodziłam z mamą do ojca, który pracował w cukrowni i została mi w pamięci tylko rzeczka i takie piękne małże. Ojca aresztowano po prostu za to, że był Polakiem, a ruscy wtedy dostali w skórę. Stamtąd mój brat wyjechał później do mego wuja - do Zagłębia Donieckiego. Tam - albo w więzieniu /ponieważ kazali mu ładować na ciężarówki trupy rozstrzelanych/, albo też w drodze - zaraził się tyfusem i umarł. Ponieważ dwoje mego rodzeństwa umarło jako małe dzieci, więc ja zostałam jako jedynaczka. Oczywiście byłam chuchana, dmuchana...

Wróciliśmy do Grodna, jako że ojciec był grodnianinem. Tam wychowałam się i skończyłam państwowe gimnazjum im. E. Plater. Brałam bardzo duży udział w harcerstwie, byłam instruktorką i po skończeniu gimnazjum, na prośbę ówczesnej dyrektorki - p. Janiny Niedźwiedzkiej, która zginęła - aresztowana w Mińsku już po 39r. - prowadziłam tam drużynę harcerską. Ponieważ przed wojną harcerstwo wprowadzało tzw. obozy służby, poza tym przygotowywało młodzież do pomocy w razie ewentualnej wojny, więc jak się zaczęła mobilizacja, nasz hufiec /a hufcową była p. Marta Wilmusówna, która też zginęła w Kijowie posłana tam przez AK i Niemcy ją rozstrzelali/, został przydzielony do objęcia kantyny przy 81 pułku piechoty nad samym Niemnem. Były to przygotowania przed 1 wrzesnia - przed wojną polsko-niemiecką.

5. 1953/54 - jak wspominać na 100-lecie dyktando ZSR
1. Alicja - wykreślenie karykatury
2. "Telefon" - w celu - jak informowanie
3. Kontakty z białymi (jak wspominać - jakie wzm.)
4. System edukacyjny w samym okresie (wskazywanie konsekwencji)

~~Jak~~ Grodno niewiele ucierpiało na początku wojny; było tylko kilkakrotne bombardowanie i Niemcy do Grodna nie doszli. Doszli do Kuźnicy Białostockiej, tj. 20km od Grodna. Chociaż radio moskiewskie nadało, że Armia Czerwona przekroczyła granice Polski, jednakowoż nikt do tego nie przywiązywał wagi i nie sądził, że mogą się daleko posunąć i - jak to nastąpiło - ewentualnie podzielić Polskę.

Akurat był piękny wrzesniowy dzień - 17 wrzesnia. Byłyśmy właśnie w kantynie, 4 dziewczyny były na posterunku, dwie po coś poszłam. Okno od kantyny wychodziło na most nad Niemnem. Ktoś przyszedł po papierosy czy po coś, patrzymy przez okno - na most wjeżdżają czołgi... z takimi czerwonymi wieńcami z jarzębiny. Początkowo, ktoś z naszych żołnierzy spojrzął i zawołał: "O, to nasze czołgi jadą!", a potem zobaczył gwiazdę.... czerwoną. Momentalnie alarm i zaczęli budować barykady. Ściągali zewsząd, m.in. z koszar łóżka, zatarasowywali okna, zaraz postawili cekaemy i zaczęli strzelać do czołgów. Czołgów było pięć albo siedem - nie pamiętam dokładnie. Przeszły przez most, dwa od razu przy koszarach zostały rozbite, reszta poszła do miasta. W mieście zorganizowała się ludność cywilna, poza tym płk. Przeździecki /zdaje mi się, że to był on/ - zebrał resztki wojska i zorganizował obronę Grodna. Nawet dzieci rzucały się na czołgi z butelkami benzyny i paliły je. Żaden z czołgów, który wszedł ~~do~~ - nie wyszedł z miasta. Na tych czołgach tego dnia się skończyło. Spokój zapanował o zmroku. Około 10-ej wyszłam i poszłam do domu. Ulice puste, pełno szkła, szyby powybijane, przyszłam do domu - w domu lament, płacz, mama we łzach ale szczęśliwa, że się nic nie stało. Następnego dnia rano dostałam wiadomość, że mam się stawić w szpitalu. Ponieważ szpitale były ewakuowane, więc ~~nie~~ miejscowa ludność, m.in. dr Bieniecki - ówczesny jeszcze student medycyny - zorganizowała ~~wojskowy~~ szpital - w miejscu poprzedniego wojskowego szpitala wojskowego w Nowym Zamku. Uruchomiono ten szpital i zawożono tam chorych. Weszłam na salę, leżało masę żołnierzy. Komu trzeba było, to robili operację, ale w zasadzie to nie bardzo było czym robić i jak, dlatego, że po prostu wszystko było wywiezione /ewakuowane/.

Tylko tyle, że się choremu podawało wodę /jeszcze najpierw trzeba się było zapytać, czy nie jest ranny w brzuch/. Pod wieczór znów się zaczęła strzelanina i trwała całą następną noc. Czołg podjechał do szpitala i chociaż była na nim flaga Czerwonego Krzyża, zaczął walić w szpitaly i chorzy w łózkach zostali po raz wtóry ranni. Ponieważ z ulicy dostał się do szpitala jakiś ranny pułkownik sowiecki, więc dał kartkę i parę osób z personelu z białą chorągwią wyszło do czołgu i ten odjechał. Były różne trudności, np. wodociągi były uszkodzone i nie było wody. Poza tym walka na ulicach trwała. Przywieźli 12-letniego chłopca, którego sowieci złapali i przywiązali do czołgu i nasi - strzelając w czołg - strzelali w niego. Przywieźli dosłownie sito - chłopak zmarł w szpitalu

Obrona trwała trzy dni. Trzeciego dnia sowieci zajęli Grodno, zajęli szpital. Zaraz przywieźli swoich rannych, swój personel, swoje siostry, naszych rannych położyli gdzie indziej. Nasi nie bardzo mieli co jeść dawali trochę chleba i coś jeszcze, a dla swoich znalazła się i czekolada i wszystko, co kto chce. Zaczęło działać NKWD. Zaczęli przychodzić już mieli wskazane co tam jest, kto tam jest i zaczęli wyciągać chorych z łóżek i wyprowadzać - ponieważ leżeli różni chorzy trzeciego dnia pozbyli się nas i cały szpital objął personel sowiecki. Ponieważ wiedziało się komu zagraża niebezpieczeństwo, więc harcerstwo, z którą drużyną Wilmusówną, która działała jeszcze, zaczęło wydobywać tych chorych ze szpitala i ukrywać ich po różnych kwaterach prywatnych. Chorych, których wzięto wprost ze szpitala /przez sowietów/ - zawieziono prawdopodobnie do więzienia, no a później.... W mieście zaczęły się aresztowania. Zaczęli aresztować wojskowych - kto jeszcze został, poza tym adwokatów, i w ogóle inteligencję. Wracając do rannych, których ukrywaliśmy, to była dość duża liczba osób. Potem zostawiali oni przeprowadzani przez "zieloną granicę" i odsyłani do Gubernatorstwa. Po zajęciu Grodna przez Rosjan, ja pracowałam w biurze "Torketsranse", ojciec też pracował, mama była w domu. Była zmiana paszportów i dali paszporty sowieckie. Wszyscy je przyjmowali,

Trzy miesiące przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej zostałam aresztowana. Doszło do tego w ten sposób, że ktos doniósł, że jeden z harcerzy przyniósł do mnie papier, który trzeba było przesłać tam, gdzie wychodziła gazetka /tam gdzie była drukarnia/. Domyślałam się, kto to zrobił, dlatego, że spotkali się wtenczas u mnie - ^{chłopiec} ~~harcerz~~ z papierem i nieoczekiwany gość - taki harcmistrz, /Ukrainiec/ ~~zresztą~~, przedwojenny jeszcze. Po co on przyszedł - nie pamiętam, o coś się zapytać, coś takiego. Spotkali się z tym chłopcem i nawet rozmawiali na temat sytuacji /?/ i ten harcmistrz powiedział, że jak ma być Polska, to niech to będzie Polska komunistyczna. Więc ja przypuszczam, że to on doniósł. Trudno, człowiek nie dowiódł, więc trudno wiedzieć. U nas przeważali Białorusini, którzy nie bardzo entuzjastycznie witali komunistów, tylko komuniści ukraińscy /ich witali/. I powiem, że w dalszych moich dziejach Białorusini się bardzo przyzwocię zachowywali - bardzo przyzwocię. Razem ze mną aresztowali tego chłopca i jego ojca, z którym ja osobiscie nie miałam nic wspólnego, ale ponieważ on miał coś wspólnego z kimś innym, więc siłą rzeczy.....

W czasie śledztwa siedziałam w pojedynce. Ciągłe w kółko o to samo pytano, coraz to inny śledczy. Głodzili. W karcerze siedziałam ze szczurami: leżałam, szczury przychodziły i węchały mnie - dosłownie. Na szczęście szczepili nam tyfus, dostałam gorączki i zabrali mnie stamtąd. Potem dali do mnie kobietę, która prawdopodobnie była na usługach dlatego że dostałam "telefon", żeby być ostrożną. Później ją zresztą wypuścili, co się rzadko zdarzało.

Początek wojny z Niemcami był nagły. W nocy zaczęły latać samoloty bombardowanie, potem straszne zamieszanie w więzieniu, zaczęli wyciągać z cel i niektórych rozstrzeliwali. Np. znaleziono potem księdza, który był zamordowany, z językiem przybitym gwoździami do deski. Potem od detonacji drzwi się wszystkie pootwierały, ludzie gdzieś się poskupiali w różnych celach i tak siedzieli razem. ^Atoś wbiegł do celi, w której myśmy były /akurat tam z matką Wołłejki siedzieliśmy/, powiedział po rosyjsku: chodźcie za mną. Ale nikt się nie ruszył i to całe szcze

ście, bo kto poszedł - to rozstrzelali. Potem zapanowała zupełna cisza, ranek, cisza, ktoś wyjrzał, powiada: brama otwarta, nikogo nie ma.

7 I zaczęliśmy wychodzić. Przyszłam do domu. W domu okna powybijane, nikogo nie ma, słyszę - ludzie są w piwnicy. Zeszłam do piwnicy - przywitała mnie moja niania. Okazało się, że rodziców i babcię wywieźli. Dłuższy czas, chyba tydzień, trwało dowiadywanie się gdzie, co i jak, ktoś wrócił, powiedział, że cały ten eszalon spalony, ludzie są zabici, więc dużo było niepokoju. Potem okazało się, że rzeczywiście pociąg był spalony.... A moja mama była chora na dezynтеріę, babcia staruszka miała 85 lat i też się rozchorowała i - zabrali takich chorych. Poza tym zabrali rodziców mojej koleżanki, których matka też była chora na dezynтеріę i razem w tym wagonie jechali. Rzeczywiście, cały ten pociąg się zapalił, ludzie uciekali, oni nie mieli siły uciec i ten jeden jedyny wagon ocalał..... To było koło Baranowicz. Później Niemcy kazali rozwozić tych ludzi po gminach furmankami. Ponieważ babcia była bardzo chora, więc rodzice zatrzymali się u naszej kuzynki w Białymstoku. Ojciec pojechał do Grodna dowiedzieć się co się ze mną dzieje, a ja później pojechałam - trochę samochodem, trochę pieszo - do Białegostoku.

Tam pochowaliśmy babcię, ~~którąxxxxxxx~~ Z ojcem wcześniej się spotkałam, a potem z mamą wróciliśmy do Grodna, które było zajęte przez Niemców.

7 Za czasów niemieckich, w 1942r. oficjalnie wstąpiłam do AK. Przedtem były różne organizacje, różnie się nazywały, a ja byłam przy nich jako przyczepka - jako harcerstwo. Oficjalnie składałam przysięgę 5 kwietnia 1942r. - akurat w moje imieniny. W czasie okupacji hitlerowskiej były ciągle aresztowania, najpierw aresztowali zakładników jednych, potem drugich, były rozstrzeliwania, terror był straszny. Ja pracowałam w firmie niemieckiej - w takiej jajczarni, gdzie był skup jajek. Dostałam się tam przez znajomą /która potem była konfidentką ruską - jak drugi raz przyszli/, której pokój zajął Niemiec ~~xxxx~~ zakładniając jej ten "geschäft". To był Niemiec - Pruska - "epfner, dosyć dobrze ustosunkowany do Polaków. Nawet dość dużo robiła dla nas; romansował ze swoją sekretarką, a przez nią myśmy mieli z kolei styczność z AK i on za jajka wykupywał różne osoby z "estapo".

Porównując okres okupacji sowieckiej i niemieckiej - tu było inaczej, tu było inaczej. W czasie okupacji sowieckiej stale panował strach. Nigdy nie było wiadomo, czy ktoś za tobą nie idzie, niegdy nie było wiadomo czy w nocy - jak ktoś stuka - czy nie przyjdą i nie zabiorą na wywózkę czy do aresztu, bo to się wszystko odbywało w nocy i pod płaszczem ciemności. Natomiast w czasie okupacji niemieckiej wiadoma była jedna rzecz: chcemy niszczyć i niszczymy, a tam: chcemy was wyzwolić, chcemy was wychować inaczej, chcemy wam dać jak najlepsze warunki jakie można, jednym słowem - obłuda. To jest podstawowa różnica, bo Niemcy niszczyli - świadomie i mówiąc to, tamci z kolei wywozili, może mniej mordowali, ale ludzie sami ginęli, dlatego, że były takie warunki. Myśmy się nieraz zastanawiali tamże /na Łołymie - przyp. red./: co lepsze - czy zginąć, czy męczyć się? - Jednak chyba lepiej żyć, bo póki się żyje to jest nadzieja... tak.

Dochodzi do wojny z Rosjanami. Rosjanie przyszli po Niemcach w sierpniu 44r. Grodno było bardzo zniszczone, walki trwały tydzień, gdyż chodziło o przeprawę nad Niemnem. Niemcy ustępując palili domy. Jak weszli sowieci, zaczęły się rewizje i chodzenie: od 6-ej rano się zaczynało: jedni szukali trofeów, drudzy szukali broni, inni szukali schowanych Niemców, a wszyscy kradli ile wlezie, co było. Np. szukało się Niemców w pudernicze na toaletce; całutki czas chodzili i szukali. W nas był początkowo spokój, ja pracowałam w takiej prywatnej wytwórni zabawek jako malarka, zresztą tę wytwórnię prowadził mój znajomy i było to "swoje towarzystwo", czyli towarzystwo AK-owskie /tak jak za Niemców w jajczarni/. Jak weszli sowieci, to zaraz na drugi dzień zrobili łapankę na ulicy. Wpadł brat mojej koleżanki i jak udało mu się wrócić do domu, to powiedział, że szukają i pytają o AK-owców. A AK-owcy nie walczyli z sowietami, walczyli przeciwko Niemcom, ale oni mówili tak: "ale wyście byli zorganizowani i moglibyście pójść na nas" /moglibyście - tryb warunkowy/. Względny spokój był do grudnia. W grudniu zaczęły się masowe aresztowania. Aresztowali komendantkę na miasto Grodno: była ona nauczycielką, wezwali ją do kuratorium i powiedzieli, że ma

jechać na jakąś konferencję do miejscowości odległej od Grodna o 30 km. Przyszła o oznaczonej godzinie do kuratorium, samochód czekał, weszła do niego i pojechała w kierunku miasteczka, w którym ta konferencja miała się odbyć. Na 10-tym kilometrze za Grodnem samochód skręcił i pojechał prosto do NKGB /to się już wtedy nazywało NKGB, a nie NKWD, które wówczas ograniczało się do straży ogniowej i tym podobnych służb porządkowych/. Nauczycielka ta nazywała się Antonina Galska. Aresztowali ją, zdaje się, dzień przed moim aresztowaniem.

18ego grudnia 44r. najpierw przyszli po mnie do pracy. Mój szef powiedział, że jakichś dwóch wojskowych czeka na mnie. Wyszłam, a oni mówią, że są pracownikami NKGB i żebym poszłam z nimi. Wyszałam z nimi, a oni mówią, że "pójdziemy do was - do domu". Poszłam, moja mama mnie spotkała po drodze, oczami jej pokazałam, żeby udawała, że mnie nie zna. Mieszkanie nasze składało się z jednego pokoju przedzielonego na pół i ze wspólnej kuchni, ponieważ nasze poprzednie mieszkanie było zniszczone i musieliśmy się kilka razy przeprowadzać. Jak weszliśmy do mieszkania, to oni powiedzieli, żebym ja się przygotowała, zjadła coś, wzięła zmianę bielizny, a oni zrobią rewizję. Akurat w czasie rewizji moja niania wpadła do pokoju, ja się niby ubierałam za szafą i szukałam czegoś na biurku, niania weszła z kuchni, żeby mnie zapytać co będę jadła, a ja od razu wzięłam pełno zdjęć, które miałam w szufladzie i wsypałam do fartucha niani, która ona nadstawiła. Oni tego nie widzieli na całe szczęście, bo na tych zdjęciach były różne osoby, które oni ciągaliby i pytali co i jak. Poza tym, otworzyli szafę, a w niej była cała masa środków ~~medy-~~ opatrunkowych i lekarstw, które miała zabrać ode mnie partyzantka. Zaraz do mnie: a eto czto takoje?" Ja mówię; że to moja mama choruje, na co co jeden do drugiego powiada: "no, pust starucha leczitsa" - i dali spokój. Zabrali jakis tam papier powielaczowy, nic poza tym ważnego, protokół jeszcze do dnia mam /na świstku papieru napisali/. Zaprowadzili mnie do NKGB i tym razem już było troszkę inaczej, dlatego, że już od samego początku przywitali mnie pseudonimem: "Zdrastwuj Szara" - i pytają mnie

czy ja znam "Czarną", czy znam "Szarotkę", czy ja znam tego czy owego. Zorientowałam się, że oni mają bardzo dużo wiadomości, wobec tego obrałam taką politykę, że koncem koncem wiem, że stąd nie wyjdę /z ich rączek/ więc trzeba tak operować, żeby końców nie zostawić. Więc korzystając z tego, że Grodno było zniszczone, że dużo ludzi Niemcy pomordowali, opowiadałam, że spitykałam się z tym, czy z tamtym, w takim a takim miejscu /chodziło przeważnie o ludzi nieżyjących już i miejsca zniszczone/. Sledztwo trwało całą noc, ~~ciągle od podzłtku~~, ~~ciągle od~~ początku / tłumaczyłam, że przecież myśmy razem pracowali przeciwko Niemcom, że przecież nie nie robiliśmy przeciwko sowietom.... - "ale wyscie byli zorganizowani i w każdej chwili moglibyście się na nas rzucić". W końcu, jeden z dwóch śledczych powiada tak: "No, dosyć na dzisiaj, zaraz pójdziemy do Galskiej i dowiemy się, czy ty prawdę mówiła, czy nie". - wiedzieli już, że byłam związana z Galską, czyli z Szarotką. Poszli więc do niej /do jakiegoś innego pokoju w urzędzie/ wrócili i powiedzieli; "No, tym razem prawdę mówiła". Potem zaprowadzili mnie do więzienia NKGB, które znajdowało się w magistracie. Na szczęście, kogo chce Pan Bóg ukarać, to mu rozum odbiera - zapomnieli, że tam jest tylko jedna cela żeńska. A ponieważ naczelnik więzienia przyprowadził kobietę, to wsunęli ją do tej celi. Było ciemno, w ogóle brak światła, cela malutka, babki siedziały w kucki, słyszę - pytają: kto tam, co tam.... odzywa się jedna, druga, okazuje się, że już powiat ruszyli. W celi było 5 lub 6 osób, w tym jedna Białorusinka. Na drugi dzień przyprowadzili p. Ninę Galską.... nie było na niej chyba centymetra kwadratowego białej skóry - tak strasznie była zbita. Powiedziała mi, że jak ją tłukli i polewali wodą i znowu tłukli, to akurat przyszli z ~~nowym~~ protokołem z moich zeznań i zaczęli jej go czytać. Niec z niego nie rozumiała, ale zdała sobie sprawę, że mnie zależy na tym, żeby ona to potwierdziła - i potwierdziła.

Ja nie byłam bita. Byłam tylko szantażowana w pewien sposób: do NKGB odprowadził mnie ojciec i później jak siedziałam i czekałam na przesłuchanie, słyszę z drugiego pokoju: "odprowadził córkę, dostał

ataku serca i umarł" - tak, żebym ja słyszała. Dłuższy czas nie wiedziałam, czy ojciec żyje, czy nie żyje i ciągle się martwiłam co mama robi. Dopiero ktoś później aresztowany powiedział mi, że ojciec żyje.

+ Całe szczęście, że siedzieliśmy z tydzień razem w celi. Po kilku dniach przyprowadzono szefa naszego wywiadu - p. Bronisławę Omiljanowicz, którą zostawili na wabika. Jak ona weszła, to myśmy wszystkie zawołały: "No, nareszcie" - ona się rozplakała: "to wyście, tak na mnie czekały, tak mi życzyłyście". /Ale myśmy miały już po prostu prawie cały nasz komplet. Obok naszej celi był karcer, w którym siedział mężczyzna. Jedna z Białorusinek zastukała do niego i dowiedziała się, że jest to wojskowy o pseudonimie "Lech" /tak jak nasz komendant/. Mężczyzna ten prosił o dane: kto jest aresztowany, o co pytają /a oni przede wszystkim pytali, gdzie jest drukarnia/, ile osób aresztowanych itp i prosił żeby mu rzucić zapalki. Jak szliśmy na drugi "spacer" - z wiadrem /paraszą/ do wylania, przyszykowałyśmy wszystko i ta Białorusinka szybciotko wrzuciła mu wiadomość przez judasza /była to piwnica, bez okien, tylko z judaszami/. Napisałyśmy, że pracowaliśmy tu i tam /bo to łatwiej jest wymyśleć kogoś/ i że pytają o drukarnię. Za jakies pół godziny tego mężczyznę zabrali. Potem, ~~ponieważ~~ potem okazało się, że był urodzony w Ameryce, gdzieś starali się o niego i gdzieś go wywieziono - w każdym razie wyszedł.

Po tygodniu wspólnego siedzenia w celi zapytali p. Galską z kim ona siedzi w celi, a jak odpowiedziała, mało nie pomdleli, bo przecież myśmy chodziły na śledztwa, było wiadomo o co i o kogo pytają i można było ułożyć cały plan działania. Później nas rozdzielili - jedne były w więzieniu centralnym, inne gdzie indziej. Ja byłam w jednej celi z p. Omiljanowiczową, ponieważ przyznałyśmy się, że ja jażnam z gimnazjum - jako nauczycielkę, a ona mnie - jako uczennicę. Cały czas trzymałyśmy się razem. Na śledztwo przeprowadzali do magistratu, a w czasie przerwy w śledztwie pakowali do tej celi. Ustawiało się więc którąś z dziewcząt, że by ~~przypa~~ informowała taką i taką osobę, że to i to tak że łączność była cały czas.

Jeszcze przed zakończeniem wojny do więzienia przywieziono powstańców, których złapano w Borach Tucholskich. Tam było kilku mężczyzn, 5 czy 6 w tym dwóch nieletnich chłopców i dwie kobiety. Kobiety siedziały razem z nami. Jedna nazywała się Halina Szymańska, a druga Krysia - nazwiska nie pamiętam. Był to oddział AK. Mężczyźni siedzieli w celi śmierci, sądzili ich i chłopcy ^(13 i 15-letni) dostali: ~~13-letni - 15 lat więzienia, a 15-letni - 15 lat więzienia~~. Potem ich trzymali u nas - w tym samym gmachu, ale osobno - w celach dla nieletnich. Mieli oni trochę więcej luzu, bo pozwalano im chodzić trochę po korytarzach: jak nas tamtędy prowadzili na spacer, to myśmy nierych ich widziały. Dziewczyny wyjechały z nami do Orszy i tam zostały. Dostały po 10 lat. Starszych mężczyzn rozstrzelano.

W maju 45r., po zakończeniu wojny, był sąd. Sądził nas trybunał wojenny. Oskarżone byliśmy z § 63 p. 1a kodeksu białoruskiego i z § 76 W wyroku miałam uzasadnienie, że należałam do polskiej "podpolnej organizacji Armia Krajowa, która starała się oablić sowiecką władzę i ustanowić państwo Polszu" - czyli wróg państwa i ustroju. Osądzani byliśmy w cztery osoby: p. Galska, pani Omiljanowicz, ja i mężczyzna o pseudonimie "Jurek". Cały ten sąd to była dosłownie farsa, bo pytali się o co innego, pisali co innego. Myśmy się specjalnie nie przejmowali, bo wiedzieliśmy, że to będzie raz dwa i prędko się skończy, a poza tym były nawet momenty humorystyczne, np. p. Galskiej zarzucili, że podczas rewizji /po jej wywiezieniu zaocznie zrobili rewizję w domu/ znaleźli u niej wiersze antysowieckie i ... czytają "Trzech Budrysów" - już przetłumaczone na rosyjski: " a tretij był pastuchom - wot, wot, imiennie protiw sowieckoj ^gwładzi"..... Wszyscy dostali po 10 lat - Trudowych isprawietielnych Lagierej ^x - i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich - tak jak było w wyroku. Ja dostałam wyrok bez prawa apelacji i nie pozwolili się widzieć z rodziną. Do więzienia paczki przychodziły, listy nie. Nawet mam trochę pokwitowań na te paczki, bo zostały u mamy i je trzymam. Po sądzie posadzili nas znowu na pewien czas do celi.

~~Po sądzie posadzili nas do celi, a w czerwcu wywieźli, Załadowali nas do pociągu bydłowego, z okieneczkami w górze, z jedną półką - rodzajem pryczy.~~

x) napisane
tam tak
ja nie
kronice
12

W więzieniu spotkałam się z dziewczyną, która miała na imię Moncia czy Marusia, już nie pamiętam. Mńcia była z Suwałk, cz z suwalskiego. Niemcy wywieźli ją na roboty do Niemiec, stamtąd uciekła, wróciła do Suwałk i Niemcy zaczęli szukać jej i brata. Ponieważ tam nie było blisko partyzantki polskiej, a była radziecka, więc poszła do nich z bratem. W jakimś czasie później, komendanci partyzantki polskiej, która jednak znajdowała się w pobliżu i partyzantki czerwonej skomunikowali się, doszli do porozumienia, i zgodnie z oficjalnym rozkazem władz polskich /AK/ przekazali formalnie Polaków do oddziałów polskich - odwrotnie - radzieckich - do czerwonej /o ile ktoś tam był/. Później oddział, w którym była Moncia rozbito, dokładnie nie wiem jak to było, dosć, że ona dostała się w ręce NKGB i została oskarżona, że była w partyzantce polskiej. - czyli o działalność przeciwko ZSRR. Powołała się na komendanta partyzantki radzieckiej, jakiegoś Kapustę, czy innego, który zeznał, że rzeczywiście, wspólnym rozkazem przekazali ją oficjalnie z jednego oddziału do drugiego. Prokurator ją wezwał i powiedział: za to, że była w partyzantce radzieckiej dostaje medal, a za to, że była w partyzantce polskiej - będzie miała sprawę sądową i dostanie 10 lat. I rzeczywiście dostała 10 lat. Medalu nie dostała, tylko przyznano jej - nie mogli przecież dać osobie niegodnej. Była z nami również kobieta, lat 35, która za czasów okupacji niemieckiej pracowała w Gestapo jako sprzątaczką - sprzątała więzienia, które były w podziemiu Gestapo. Był tam wówczas aresztowany jeden z AK-owców i trzeba go było stamtąd wyciągnąć. Ona wydostała skądś klucze i przy jej pomocy wyszedł z więzienia, był przygotowany rower, wszystko było zorganizowane i mógł uciec. Ją aresztowano i męczono - gdzie on jest. I też - za współdziałanie z AK, która jest wrogiem Związku Radz., też została przez NKGB osądzona na 10 lat /a ona uciekła razem z tym AK-owcem, złapali ją dopiero sowieci/.

W Związku Radzieckim były dwa rodzaje sądów dla politycznych: jeden to był trybunał wojenny i na tym sądzie byli obecni oskarżeni, oczywiście nie było adwokata, ale przebieg sądu był normalny: były zarzuty, zadawali pytania ; inna rzecz, że oskarżony zeznawał inaczej, a inaczej pisali w protokółie i trzeba było to podpisać. Były tam wyroki przeważnie 10, czasem 15 lat. Wtedy, jak mnie sądzili, to były 10 lat, a później - chyba w 46 czy 47 r. - dochodziły do 25 lat. Było to pozbawienie wolności i skazanie

na łagry /Isprawitielnyje Trudowyje Łagiera/ i pozbawienie praw obywatelskich. Drugi rodzaj sądów - to były sądy zaoczne, tzw. Osobyje Sowieszczanije - więzionych wywozili i po jakimś czasie przychodził dopiero wyrok - dawali więźniowi wyrok do podpisania, że np. dostał 8 lat - to był chyba najwyższy wyrok. Nie wiem, czy wtedy było pozbawienie praw obywatelskich. Te sądy zaoczne były o tyle gorsze, że jeżeli ktoś sądzony przez trybunał skończył wyrok, to zostawał zwolniony /co prawda w 52r. zdaje się, Stalin wszystkim z paragrafem politycznym dodał bezterminową zsyłkę/ i z obozu, czy z więzienia, szedł prosto na zsyłkę. Skazani zaocznie siedzieli więc cały czas w więzieniu czy w łagrze i chociaż wyrok nieraz już skończyli, to jeszcze dłuższy czas siedzieli /w więzieniu lub w obozie/ i czekali aż przyjdzie zwolnienie z "Osoboje go Sowieszczanija". Czyli czasem siedzieli dużo dłużej niż opiewał wyrok.

W czerwcu 45r. wywieźli nas. Załadowali nas do pociągu bydlęcego, z okieneczkiem w górze, z jedną półką - rodzajem pryczy. Jakis czas staliśmy na stacji, ludzie poprzychodzili, nawet ja z mamą rozmawiałam przez okno, dawali paczki. Oczywiście z tych paczek dostawaliśmy bardzo mało - dostaliśmy puste słoiki pozawiazywane, tylko chleb dostaliśmy. Mnie mama chciała dać futerko na lisach, żeby ciepło było, oczywiście nie dotarło do mnie. Transport wyruszył w nocy, dojeżdżaliśmy do Orszy. Tam - najpierw do bani, a później zaprowadzono nas do sali, w której było kilkaset kobiet. Był to punkt przerzutowy, tzw. pieriesyłka. Wśród tych kobiet było mnóstwo "błatniaczek", czyli kryminalistek skazanych za złodziejstwo, zabójstwo itp. Zanim doszliśmy do miejsca, w którym kazano się nam rozłożyć, to worek z rzeczami, które mogłyśmy mieć ze sobą /żadnej walizki nie wolno było mieć// był już przecięty i różne rzeczy po drodze wybebeszone. W Orszy byliśmy parę dni i wywieźli nas na "posobne choziajstwo" orszańskie - do Chotiniczy - ok. 20km od Orszy nad Dźwiną. Była to jakas wioska z czworakami i stajnią - to było przerobione na więzienie. Naokoło stały "wyszki" - wieże strażnicze. Początkowo pracowałyśmy w polu, kazali żąć i robić wszystko, co w polu się robi. To był sowchoz.

Były tam nie tylko Polaki, było dużo Rosjanek, Białorusinek, które pozostawały ~~z~~ z dziećmi, jak armia uciekała - oskarżone o to, że nie poszły do partyzantki, były takie, które, które były w Niemczech na robotach, więc z kolei posądzone o zdradę /że dla Niemców pracowały/ itp. Warunki higieniczne w tym sowchozie były straszne. Przede wszystkim nie było w wody, nie było umywalki, tylko woda w wiadrze, więc nie było się gdzie umyć. Przychodziliśmy spocone i brudne z pracy i w końcu zaczęliśmy wrzeszczeć, że my się chcemy umyć. A bania była raz na 10 dni. Postawili nam wreszcie za barakiem umywalkę - dółkę. Więc jak przyszliśmy spocone, brudne z roboty, to rozebrał się do połowy i zaczęliśmy się myć. - wrzask niesamowity: Polki są niemożliwe, że się myją, że gołe stoją i myją się - awantura nie z tej ziemi! Przyszli do nas, mało nas tam do karceru wszystkich nie wsadzili, ale myśmy się postawili, że absolutnie musimy się umyć i koniec. Myły się tylko Polki. A pan naczelnik mył się tak, że wychodził z domu, brał kubek, wodę do ust, popłuk na ręce, roztarł na twarzy i było wszystko w porządku. Co prawda bania była co 10 dni, ale zwyczaj mycia się pozostał. Mężczyzn tam nie było, tylko kilku specjalistów, którzy mieli "trzecią kategorię - że tak powiem - i tam pracowali jako cieśle, stolarze - sami inwalidzi przywiezieni z Orszy.

✕ W zimie musieli nas przy czymś zatrudnić, więc zaczęli niby budować hydroelektrostaację - czyli jeden pagórek przenosili z miejsca na miejsce, żebyśmy mogli nosić ziemię. To była straszna robota, dlatego, że trzeba było ziemię przenosić na takich noszach, a najpierw rozbić ją kilofem, zmarznąętą... Potem człowiek budził się w nocy i dosłownie płakał z bólu, bo ręce tak bolały. Była to praca zupełnie bez sensu, tylko poto, żeby ludzi zatrudnić. Poza tym zatrudniali nas jako konie. Np. zaprzęgali do sań i jechaliśmy parę kilometrów do kopców po marchewkę, kapustę itp. Zresztą, jak było to w największy mróz, to jak się te jarzyny przywiozło i potem rozmarzły, to była z nich marmolada, zwłaszcza jak dawali to do pomieszczenia z piecami.

W tym czasie zaczęła się repatriacja i moi rodzice wyjechali do Polski.

do Białegostoku, żeby być bliżej, a w Źrodnie została kuzynka i niania które nie pojechały, żeby mieć ze mną kontakt. Ja pisałam do nich i one przesyłały różnymi drogami moje listy do rodziców. Ja też dostawałam listy od kuzynki i od niani.

Na wiosnę 46r. wszystkich z wyrokami politycznymi znowu zabrali do Orszy. Tam nas rozdzielili: starszych zostawili, a młodsze szykowali do transportu. Mysmy miały jechać nad Peczorę, ale tam było widocznie za dużo ludzi /za duży etap/ i przyłączyli nas do etapu jadącego na Kołymę.

Jechaliśmy znowu tymi bydlęcymi, zakratowanymi wagonami przez całą Syberię - koleją transsyberyjską. W Moskwie, gdzie stałysmy krótko, ludzie podchodzili, prosili, błagali, żebrawi o chleb. Jak stałysmy na jakiejś stacji, to starałysmy się wyrzucić jakąś kartkę, żeby ktos wysłał do rodziny - wszystkie te kartki doszły. W nocy ciągle chodzili i skakali po dachach, obstukiwali wagony młotkami, żeby sprawdzić, czy cos nie jest wyrwane i czy nie mamy zamiaru uciekać. W nocy przychodzili, budzili, spędzali na jedną stronę i ciągle liczyli, kilka razy w nocy liczyli - czy ktos nie uciekł. Na świeże powietrze nie wypuszczali. Tylko w Mińsku przyszli - może ktos chce na ochotnika wodę poroznosić po wagonach. Więc ja poszłam, bo byłam ciekawa kogo wywożą, i kogo z naszych mężczyzn wywożą. Jak poszłyśmy po tę wodę, to ludność nas obrzucała kamieniami i krzyczała : "faszysci" - bo tak ich nauczyle. Oczywiście widziałam się z kilkoma znajomymi, którzy byli w tym transporcie - zmienieni nie do poznania - w jakichś łachach, bo "błatnyje" obrabowali ich ze wszystkiego - wyglądali strasznie, ale w każdym razie dając im wodę zamieniliśmy parę słów. A poza tym nigdzie nas nie wyprowadzali. W wagonie oprócz Polek były też Rosjanki i Białorusinki - zarówno polityczne, jak i kryminalne.

W wagonie była ranna ściekowa wyprowadzona na zewnątrz, przez którą ułatwiało się wszystkie potrzeby. Ten otwór był również użyty jako punkt obserwacyjny jak przejeżdżałysmy nad Bajkałem. Wyciągnęłyśmy wtedy tę rynnę i leżąc plackiem na ziemi oglądałysmy Bajkał.....

Przyjechaliśmy do Buchty-Nachodki. W Nachodce, nad morzem, był następny punkt przerzutowy. I tutaj spotkaliśmy się z lwowiankami, z wilniankami. Dużo tam było Łotyszek, Litwinek, Estonek i bardzo dużo Ukraińek z "naszej" Ukrainy /-Rusinek/ - greko-katoliczek. Byliśmy tam ok. 2 tygodni potem przyszedł statek, załadowali nas pod pokład i płynęliśmy 7 dni do Magadanu. Na statku były same kobiety - jedna koło drugiej, pokodem, leżaliśmy lub siedzieliśmy na swoim węzełku. Przynosili kocioł jakiejś zupy, dawali miski, dostawaliśmy jedzenie dwa razy dziennie. Ale nie bardzo kto jadł, bo bardzo dużo osób chorowało na morską chorobę. Szczególnie przy cieśninie Patarskiej bardzo kołysze. Było to w maju. Jeśli chodzi o warunki sanitarne, to były wiadra, które się wylewało za burtę. Były dyżurne, przychodził konwojent, zabierał dwie osoby dyżurne, które niosły te kubły na kij i wylewały je. Później, jak dojechalismy do Magadanu, to nas już wyprowadzili na pokład. Dość długo płynęliśmy jeszcze przed rozładowaniem i zastanowiło nas to, że jest ciągle widno i widno - a to zaczęły się białe noce.....

Zaraz po wyładowaniu nas ze statku powieźli nas do łaźni, a po wyjściu z niej zostaliśmy umundurowane. Dostaliśmy: podkoszulkę z perkalu, szarą wary /majtki/, spódnice /dwa rodzaje spódnic były: dziane z bawełny, a drugie z amerykańskiego materiału podobnego do teksasu, tylko cieńsze, koloru beżowego/ i taką samą bluzkę. Były one jednak bardzo niepraktyczne, bo w lecie się nagrzewały jak blacha, a w zimie marzły. Dostaliśmy też takie watowane fufajki i pończochy z tego samego materiału co bluzka - takie u szyte dwa woreczki na nogi. Ponieważ niektóre z nas dostały spódnice dziane, więc myśmy sobie z kolei z tych spódnic robiły pończochy /cieplejsze/, a z pończoch z materiały - robiło się spódnice. Buci-ki wtedy też dali: jak ktoś miał nr, np. 35, to dostał 40, 41 lub 43, ale mniejsza z tym.

Jakis czas byliśmy na punkcie przesylnym w Magadanie i stamtąd chodziliśmy na robotę do "Żenokpu" - były to warsztaty krawieckie i inne. Na statku zostało bardzo niewiele kobiet. Nas załadowano znowu na kuter i pojechaliśmy do Bałagannego. Bałaganne to był port, przy którym był też obóz

Część kobiet została w Bałagannym i tam pracowała przy przemyśle rybnym, tzn. patroszyła ryby morskie /jest to port rybacki/, a część, m.in. ja pojechaliśmy do miejscowości Talonn. Talonn to był sowchoz, w którym uprawiano rolę, hodowano krowy, konie, świnie. Te kobiety, które umiały pracować przy krowach czy koniach to się tam zgłaszały /było tam dużo dziewcząt ze wsi/, a kto nie umiał - to szedł na rolę. Baraki były tam dość duże, względnie czyste. Oczywiście pluskiew tam nie brakowało: takiego kalibru, ilości, koloru i gatunków pluskiew to chyba na całym świecie nie ma.... Barak był duży, nary dwupiętrowe, na pryczy spały dwie osoby, ale jak przychodził transport /etapy/, to zabijali przejścia między pryczami i tworzyła się jedna wielka nara. Była wtedy taka ciasnota, że przewracaliśmy się z boku na bok na komendę. Pościel nam dano: były to worki wypchane sianem albo wiórkami i taką samą poduszkę i prześcieradło. Ale prześcieradła nie było wolno używać /spać na nim/, tylko trzeba było nim zasłaniać łóżko, żeby było porządkie w razie kontroli. Koców nie mieliśmy, chyba, że komus w ostatnim momencie przy odjeździe z Polski dostarczyli jakiś koc - ja miałam taki pled. Spało się przeważnie na spodniach, a "tiekogrejką" się okrywało - bo inaczej nie można było. Później, jak już dostaliśmy te tzw. materace, to się spało na nich, tyle, że nie było czym się przykryć. W naszej grupie były Polki - przeważnie grodzieńszczyzna, Lwów, Wołkowysk, Lida, troszkę z ~~Wilna~~ wileńszczyzny /bo rdzennych wilnianek nie było/, z Przemysła. Poza tym było bardzo dużo Ukrainek - z Podola i z Wołynia. Były też Litwinki, Łotyszki, Estonki, trochę Rosjank - aresztowanych przeważnie na naszych terenach albo w Niemczech - jak wróciły z robót, własowki, Białorusinki. Czasem trafiały się Niemki, bardzo mało Rumunek, a te były przeważnie konfidentkami albo prostytutkami. Trafiały się od czasu do czasu Czeszki aresztowane przypadkowo w czasie ucieczki albo przy ruchach wojsk. Poza tym były kazaczki, Kałmyczki, Gruzinki i inne z różnych narodów wchodzących w skład ZSRR. Jeśli chodzi o Polki, to były to osoby skazane za działalność w AK /a nie "za pochodzenie"/ - albo z miasta, albo z terenów, w których miały do czynienia z Ak-owskimi partyzantami.

W tym sowchozie byli też tzw. wolni mężczyźni, skazanych nie było. Obóz męski był dużo dalej - Rudnik-Budowiczak - specjalny obóz męski, odległy o ok. 400km od Magadanu.

Jedzenie w sowchozie było takie: rano dostawało się 600kg chleba, początkowo, jak przyjechaliśmy, był to chleb biały, amerykański - bardzo krótko zresztą był taki jak gąbka. Potem zaczęli dawać normalny, mokry /dosłownie można było z niego wodę wycisnąć/, zupę z liści zielonej kapusty, na obiad też dostawało się zupę i niedużą łyżkę wazową kaszy - pszenicznej lub perłowej, rozgotowanej jak zawiesiny w krupniku. Na kolację dostawało się "czaj" - czyli herbatę, a jakiś czas dawali nawet kawę prawdziwą, której Ukraińki nie chciały pić mówiąc, że jest to "smierdząca herbata", a myśmy ją z przyjemnością piły. Ale i tak to wszystko było - jak wypłukany garnek po herbie czy kawie. Od czasu do czasu dostawało się cukier, który przeważnie jadło się z chlebem. Margaryny, masła ani oleju nie dostawaliśmy, olej czasem był w kaszy. Zupa powinna być zaprawiona konszą - tuszonką, ale jeśli na cały kocioł /na kilkaset osób/ poszła jedna puszka tuszonki, to i tak było dobrze, bo tam strasznie kradli. Obsługa więzienna przychodziła na obiady do obozu i tam się żywiła. Norma w pracy obowiązywała wszędzie. Jak przyjechaliśmy do sowchozu, to zaprowadzili nas na pole, gdzie akurat było sadzenie ziemniaków. A tam ziemniak jest sadzony tak jak u nas pomidor, bo tu nie chodziło o plon, ale o to, żeby pokazać, że teren jest "oswojony" - czyli zagospodarowany. Więc te ziemniaki podlewało się gnojówką i okopywało. Tam zresztą mają gatunki, które bardzo szybko rosną, bo sadi się je na początku czerwca, a w połowie sierpnia już się kopie.... No i patrzymy, a więźniarki siedzą na polu przy tych ziemniakach, obierają je i jedzą na surowo. Myślimy: "Boże, co to musi być za straszny głód, że ludzie jak bydło ziemniaki surowe jedzą". A później, jak poszliśmy na badanie do lekarza, /kierownikiem sanacji był wolny lekarz/ - więźniarka Rosjanka, która była zamieszana w proces Kirowa i miała 15 lat wyroku, bardzo dobra lekarka i bardzo lubiana - to ona nam powiedziała, żebyśmy jedli surowe kartofle, jak tylko będziemy mieć okazję, bo to są witaminy. Tylko, że ten kartofel nie miał takiego smaku

W tym sowchozie byli też tzw. wolni mężczyźni, skazanych nie było. Obóz męski był dużo dalej - Rudnik-Budowiczak - specjalny obóz męski, odległy o ok. 400km od Magadanu.

Jedzenie w sowchozie było takie: rano dostawało się 60dkg chleba, początkowo, jak przyjechaliśmy, był to chleb biały, amerykański - bardzo krótko zresztą był taki jak gąbka. Potem zaczęli dawać normalny, mokry /dosłownie można było z niego wodę wycisnąć/, zupę z liści zielonej kapusty, na obiad też dostawało się zupę i niedużą łyżkę wazową kaszy - pszenicznej lub perłowej, rozgotowanej jak zawiesiny w krupniku. Na kolację dostawało się "czaj" - czyli herbatę, a jakiś czas dawali nawet kawę prawdziwą, której Ukraińki nie chciały pić mówiąc, że jest to "smierdząca herbata", a myśmy ją z przyjemnością piły. Ale i tak to wszystko było - jak wypłukany garnek po herbacie czy kawie. Od czasu do czasu dostawało się cukier, który przeważnie jadło się z chlebem. Margaryny, masła ani oleju nie dostawaliśmy, olej czasem był w kaszy. Zupa powinna być zaprawiona konserved - tuszonką, ale jeśli na cały kocioł /na kilkaset osób/ poszła jedna puszka tuszonki, to i tak było dobrze, bo tam strasznie kradli. Obsługa więzienna przychodziła na obiady do obozu i tam się żywiła. Norma w pracy obowiązywała wszędzie. Jak przyjechaliśmy do sowchozu, to zaprowadzili nas na pole, gdzie akurat było sadzenie ziemniaków. A tam ziemniak jest sadzony tak jak u nas pomidor, bo tu nie chodziło o plon, ale o to, żeby pokazać, że teren jest "oswojony" - czyli zagospodarowany. Więc te ziemniaki podlewało się gnojówką i okopywało. Tam zresztą mają gatunki, które bardzo szybko rosną, bo sadi się je na początku czerwca, a w połowie sierpnia już się kopie.... No i patrzymy, a więźniarki siedzą na polu przy tych ziemniakach, obierają je i jedzą na surowo. Myślimy: "Boże, co to musi być za straszny głód, że ludzie jak bydło ziemniaki surowe jedzą". A później, jak poszliśmy na badanie do lekarza, /kierownikiem saneczarni był wolny lekarz/ - więźniarka Rosjanka, która była zamieszana w proces Kirowa i miała 15 lat wyroku, bardzo dobra lekarka i bardzo lubiana - to ona nam powiedziała, żebyśmy jedli surowe kartofle, jak tylko będziemy mieć okazję, bo to są witaminy. Tylko, że ten kartofel nie miał takiego smaku

Wolni byli dla nas przeważnie bardzo życzliwi. np. kierownik sowchozu był bardzo sympatyczny. Sam odsiedział 15 lat, jego żona pracowała gdzieś na Syberii jako służąca u Polaków - i oboje bardzo dobrze się do nas odnosili. ponieważ tam wszystko było na kartki, więc ona nam kiedyś zaproponowała, że jeśli coś chcemy ze sklepu, ~~tylko~~ to ona może nam kupić /"tylko cukru wam nie kupię, bo mam małe dzieci"/. Kupowała nam przeważnie kaszę, bo przecież trudno było wymagać, żeby nam kupowała margarynę, czy coś podobnego. Wówczas nam jeszcze płacili, byliśmy na tzw. rozrachunku, tzn. dostawało się 50 lub ileś tam rubli na konto, z konta można było wyjąć i coś kupić. Wypłata zależała od wykonanej normy, która oczywiście była nie do wykonania, tylko trzeba było ją "sposobem" spełnić. Może to było to, czego mężczyźni przeważnie nie robili, a baba ^{to} zawsze potrafi. Kierownik naszego sowchozu - Ifim Wasil~~ski~~^{ski} Jewicz Babiczew, ^{potrafił} przyjsć do nas i jeśli była bardzo ciężka robota, /np. na wiosnę robienie zamarzniętego nawozu, który się potem zapalało, czy kładło do inspektów, ~~co~~ który pod naszymi uderzeniami kilofem odpryskiwał tylko małymi kawałeczkami/ zdejmował rękawice, zdejmował kożuch, brał łom do ręki - i od razu była trójka normy na kilka dni. Pomagał również w ten sposób, że ^{jak} ~~np.~~ w zimie szkliliśmy okna do inspektów, a ponieważ nie było kitu, więc wapno gasili maślaną/?/, maślanę przywozili z tzw. Moł⁻erm w dwóch naczyniach: kierownik wtedy przychodził, w jednym naczyniu mył ręce /oficjalnie po to, żebyśmy nie jadły, żeby pokazać, że my już nie możemy jeść/. Drugie naczynie stało spokojnie, a jak on sobie poszedł, to myśmy sobie tę maślanę piły. Była tam Ukrainka ze wschodniej Ukrainy która mu pomagała przy dzieciach i czasem przychodziła przynosząc nam ko koszt ziemniaków.

Większość ludzi wolnych, to byli tacy, którzy przedtem siedzieli po administracyjnych paragrafach, a po amnestii nie dali im dokumentów, tylko kazali podpisać umowę o pracę na 3 lata - czyli pracowali pod przymusem.

Dostawali zapomogę, mieli zagwarantowaną pracę, zarobek /minimum zarobku/, a po trzech latach urlop bezpłatny na koszt państwa w tej miejscowości, z której pochodzili - rodzinnej. Mogli więc potem wrócić do

x) jak
w. Shonie
21

miejsca swego zamieszkania, ale bardzo często po powrocie, po wielu latach, nikogo z bliskich już nie zastawali, więc wracali tutaj z powrotem. Domów co prawda nie mieli, ale pracę jakąś tam dostali, a mieszkanie w końcu też im musieli dać.

[Myśmy sobie wspólnie pomagali i jakoś organizowali pomoc. Kobiety, które pracowały przy Moł-fermie czy przy świniach, przynosiły nam awaryjną kaszę /przeważnie zamokniętą na okręcie, a przeznaczoną dla bydła/, myśmy kombinowały gdzieś kartofle i w ten sposób się wymienialiśmy i człowiek nie był tak strasznie głodny. Jak się przychodziło do obozu, to w wszędzie w puszkach, które się w kuchni dostawało po tuszonce gotowało się - na piecu czy w beczce po amerykańskiej benzynie, którą to beczką ogrzewało się barak - kaszę lub kartofle. Byli czasem paskudni dozorczy, którzy przychodzili i wyrzucali nam to.

[Te wszystkie beczki z benzyną pochodziły z pomocy amerykańskiej dla Związku Radzieckiego; przecież tam było dosłownie wszystko amerykańskie: szło się do lasu, dostawało się instrument od tzw. instrumentaliszczika, który wszystkimi narzędziami się zajmował, dawał nam siekierę i mówił: "masz pamiątkę od Roosvelta". Nie wiem, czy jakieś amerykańskie statki podpływały do Magadanu, dlatego, że myśmy nie mogły tego widzieć, bo cały czas byłyśmy pod konwojem. A jak byłyśmy w Tałonn^{num}, to już nic nie widziałyśmy, bo Tałonn jest oddalony od Bałaganego o 25 km i daleko od morza.

[W Tałonn^{num} byliśmy jeszcze razem z kryminalistami, ale kryminalistów umieszczono w osobnych barakach. Dozorcy tak dobrze się znali na tych kryminalnych, że jak przychodził etap, to spojrzeli na twarz /zresztą to się odbijało na twarzy/ i chociaż jakaś kobieta zarzekała się, że jest po § 54, to mimo wszystko pakowali ją do odpowiedniego baraku.

Ponieważ Tałonne leżało niedaleko ujścia rzeki Tałuj do morza, więc nasz kierownik sowchozu często łapał ryby i dawał wszystkim w obozie, tzn. na czalstwu obozu. Ponieważ potrzebował pomocy, więc zawsze sobie kilka osób z obozu wziął na noc, żeby na "rybakę" poszły. I wtedy dawał rybę do kuchni dla pracowników sowchozu. Ponieważ myśmy były strasznie ciekawe jak się te ryby łapie ~~/kierownik miał się - tzw. niwós - go - łapać/,~~ więc raz - ja z krakowianką Bronią i dwie wolne /jedna Niemka nadwołżańska

i kierowniczką Rosjanka/ poprosiliśmy kierownika, żeby nas wziął. Dał nam "zapotrzebowanie" na noc /tzn. że jesteśmy potrzebne do roboty/, prze-
nocowaliśmy w takiej budce z narzędziami, obudził nas o godz. 3-ej rano
i poszliśmy na tę rybakę. Przyszliśmy nad rzekę - widok nadzwyczajny:
rzeka rozlana, mgły się unoszą, już zaczyna wschodzić słońce, na niebie
pojawiają się różowawe odcienie, rzeka zaczyna lśnić i widzimy na niej
tylko takie koła, koła i coś białego - co z wody wyskakuje: były to
foki. Znaczyło to, że idzie ławica ryby. Więc wtenczas Ifim Wasiljewicz
wyjeżdżał łódką, przecinał prąd rzeki, niwód miał złożony w harmonijkę
/niwód miał 90m długości/, a myśmy trzymali sznury od sieci /bo z na-
mi był jeszcze sekretarz sowchozu, też aresztowany/, kierownik wyrzucał
sieć, a potem z końcami sznurów wracał do rzeki i w ten sposób ryba była
odcięta. Wtenczas myśmy ciągnęli za sznury sieci. Jak się ją wyciągnęło,
to jak ryba dobrze szła, to było ok. 200 takich wielkich, łososiowatych
ryb, tzw. "kita" Nieraz dwa razy tę sieć się zarzuciło. Później kierownik
sowchozu musiał iść naprzyjęcie ludzi - tzw. rozwód. Nas z Bronką zostaw-
iał zwykle przy tych rybach, potem przychodziły fury ~~xxxxxx~~, ładowa-
ło się ryby i zawoziło do sowchozu. Mogliśmy sobie wziąć ile chcemy.
Brałyśmy ze dwie ryby - więcej nie można było, bo po prostu psuły się.
Więc brałyśmy dla tych co z nami pracowały, gotowało się tę rybę - pysz-
ną zresztą. Kierownik wydobywał z ryb czerwony kawior, solił i później
w zimie wędził rybę. Przynosił nam zawsze kawałek tej ryby, mówiąc na
wachcie: "ryba dla rybaków" i mówił, żeby pozwolono nam przenieść ją do
obozu. Na Święta /Nowy Rok, Oktriabska, 1-go Maja/ dostawaliśmy na 2 da-
nie kawałek smażonej ryby i "bończyki" zrobione z maki odjętej przez kil-
ka dni z należnej nam racji chleba.

[Warunki w tym sowchozie były dużo lepsze niż w głębi lądu, bo było bli-
żej morza. Bywało tylko -40° , tyle tylko, że z wiatrem. W sowchozie w
zimie była praca przeważnie pod dachem, bo wyrębu lasu właściwie tam się
nie prowadziło. Jak się wychodziło na robotę, to naczelnik konwoju wywo-
ływał wszystkich po kolei i się odpowiadało: taka to i taka, urodzona
w takim i takim roku, paragraf taki i taki, wyrok taki i taki ---i do-
potem zabierali na robotę. Jak się wracało - to znowu było to samo.

Chodziło o to, żeby się nie pozamieniać, żeby ktoś nie uciekł i ktoś inny nie odpowiedział za niego. Czyli dwa razy dziennie były takie meldunki. Poza tym, czasem w nocy, ni z tego ni z owego, przychodzą, budzą - i rewizja. Wszystkich na jedną stronę i szukają noży, nożyczek - czy ja wiem czego? Zawsze było coś ostrego, kawałek noża, czy blaszanka albo kawałek szkła, bo przecież trzeba było coś ukroić, czy przyszyć.

X Na wiosnę nasze samopoczucie wyraźnie się pogarszało.... i prawie wszyscy chorowali na nostalgię. Wiosna, zaczynało słońce przyswiecać, pokazały się jakieś kwiatki: o, już tutaj tak, a jak u nas?... Wszyscy przez to przechodzili, człowiekowi nic nie było miłe, tęsknota straszna, w ogóle nie chciało się ani rozmawiać, ani jeść, ani nic. Myśmy już to znali, wiedzieliśmy co to jest, więc nie ruszało się takiego osobnika, dopóki mu nie przeszło. * o kilku dniach jakoś znowu przychodził do równowagi. W zimie co prawda też były takie stany - w święta itp., ale najbardziej było to charakterystyczne dla okresu wiosennego.

W okolicach Magadanu byliśmy do 48r. W lecie tego roku wszystkich z paragrafami politycznymi przewieźli do Magadanu i tam spędziliśmy zimę na punkcie przesylnym - w BIERŁAGU. Tam dopiero nadano nam numery: każdy etap przyjeżdżający do Magadanu miał kolejną literę z alfabetu i numer. Nasz był Ż-1, więc ja np. miałam numer: Ż-1 598. Numery były namalowane na płótnie i musieliśmy je naszyć na nakrycie głowy /czapka lub chustka/, na spódnicy i spodniach nad kolanem i na plecach bluzki i "ciepłogrejek". Mężczyźni mieli powycinane "ciepłogrejkę" i tam wszyte numery. Później, jak się chodziło na robotę /już w głębi ładu - przyp. red./ to naczelnik konwoju wywoływał kolejne numery i musieliśmy się przedstawiać - tak jak poprzednio w sowchozie. W tym obozie przesylnym w Magadanie było nawet dość przyjemnie, dlatego że pojeżdżały się wszystkie znajome, które były porzucane dalej. Poza tym, za drutami był obóz męski - nasi chłopcy, którzy przychodzili pod druty, pisało się życzenia na święta, rysowało się im jakieś pocztówki /niektórzy podobno mają je jeszcze/ - i to się przerzucało. Nawiazały się sympatie, nawet jest stamtąd kilka małżeństw. Po prostu

podtrzymywało się na duchu tych, którzy byli słabsi. Potem znowu nas porozpędzali wszędzie, tak że nieraz było parę tysięcy ludzi w obozie, a w tym 2 lub 3 Polki tylko.... W obozie przesylnym spałysmy na pryczach ogólnych, jeden koło drugiego. Łaźnia była co 10 dni. "a roboty się nie wychodziło. Przez cały dzień siedzialiśmy, gadałysmy, coś się czasem robiło w samej zonie. W jakimś sensie był to odpoczynek. Ale była przed nami ta wielka Niewiadoma - co dalej? Stosunki między nami układały się dobrze, nie kłóciłyśmy się, trzymałyśmy się grupami. Występowały czasem jakieś zakłócenia, np. między Ukrainkami wytworzyła się jakaś sekta - Świadkowie Jehowy, czy jakaś inna. Sekta ta chciała się powiększyć, kapłowała sobie członków, robiły sobie chrzty. Jedne się oburzały, inne, np. greko-katolickie zaczęły walczyć z tą sektą, tak że konflikty były tego rodzaju. A poza tym w obozach spotykało się tzw. monaszki, czyli zakonnice, tylko, że były to osoby świeckie, wyznania prawosławnego. Ubierały się na czarno i nie pracowały. Sadzano je w obozach do karceru, mężczyli, mężczyli, a one nie pracowały. Dla mnie to był taki handel religią, dlatego, że ona w obozie nie pracowała - bo to państwowe, u niej jest święto i ona siedzi i się modli, ale niech tylko przyjdzie dozorczyń i powie, żeby poszła jej coś sprzątnąć, a za to ona coś dostanie, to ona w największe święto leciała. One nie pracowały, były karane, ale potem machnęli ręką - no i skończony interes. Używali ich za to do pomocy swoim żonom.

Wracając do czasu wolnego: opowiadałyśmy sobie różne rzeczy, haftowałyśmy - przeważnie na kawałku jakiegoś starego materiału, wyciągało się kolorowe nitki z jakiegoś innego materiału. Szyło się też tymi powyciąganymi nitkami. Mówiłyśmy wtedy zawsze: "jak wyjdę na wolność, to mi się żadna nitka nie zmarnuje" - no, ale gdzie tam... Jeżeli dostawałyśmy koszule - takie płócienne, na ramiączkach, to wyciągało się mereżki, robiło się na przykład haft "Toledo". Ja miałam takie bardzo ładne dwie koszule, które były wyhaftowane właśnie haftem "Toledo". Poza tym to się podobało dozorczyń, które przychodziły i prosiły, żeby im też takie wyhaftować - płaciły za to przeważnie chlebem lub kaszą. To nas

podreperowywało. Były takie całe grupki, które prowadziły wspólne gospodarstwo i taka grupka - dzięki tym usługom - miała coś więcej niż rację obozową. Poza tym, nauczyłyśmy się robić na drutach duże chustki na głowę, kwadratowe z obrzeżeniem ażurowym lub innymi ozdobami. Wełnę dawały nam klientki. ⁴ A to też nam płacono. ⁵ Zdabiałymy sobie nie tylko koszule np., jak dostawało się spódnicę - taką "dudę" - to były takie specjalistki krawcowe, które cięły ją na kliny, szyły spódniczkę z szesciu klinów, a po wypraniu ~~z~~ składało się ją wzdłuż klinów, wyspało się na nią i była ślicznie, elegancko wyprasowana spódniczka - i oczywiście od razu lepsze samopoczucie.

Na wiosnę 49r. część z nas załadowano na samochody - ciężarówki i pojechaliśmy w głąb.... Dojechaliśmy do miejscowości, która nazywała się Wakchanka. Był to stary obóz katorżński, który leży między górami i jezdyny dojazd jest taką drogą wykutą w skale. Droga nazywała się "Pierewał podumaj". Wcześniej tam nas nie mogli przywieźć, gdyż tę drogę w zimie zupełnie zawiewało i nie było tam żadnego dojazdu i przejazdu. W Wakchance był barak, w którym były poprzednie katorżanki, był też nieduży baraczek, w którym przebywały matki z dziećmi i barak z wenerycznie chorymi. To wszystko byli Rosjanie. Byli oni tam zesłani prawdopodobnie z procesów lat trzydziestych. Kryminalnych nie było, bo ich wcześniej zabrano /choć była tam taka, która dziecko żelazkiem zabiła/ więc jednak było tam kilka kryminalnych, ale niedużo/. Katorżanek było chyba z 60. Pracowały w tzw. fabryce. Niedaleko nas był obóz męski - Rudnik Budowiczak, tam były sztolnie w których wydobywano kasyteryt /ruda cyny - SnO_2 - przyp. red./. Tę rudę kolejką wąskotorową wieźli do Wakchanki i tam ją przemysłowo w tzw. fabrykach. Obóz męski leżał w odległości ok. 20km od Wakchanki, a ponieważ leżał poniżej, więc jak się szło np. po pocztę do "ustiumczyka", to się zjeżdżało po prostu drogą na siedzeniu -/w zimie - przez obóz. Myśmy tylko widziały, jak mężczyźni czyścili tory kolejki ze śniegu. Naczelnik konwoju wchodził, brał pocztę i wracał z powrotem.

Do Wakchanki przywieziono nas przeszło tysiąc osób, ale Polek niedużo-

ze dwadziestu parę. Były tam Ukrainki ^{Litwinki} ~~Litwinki~~, Niemki nadwołżańskie, Estonki, Łotyszki. Myśmy były w podobozie Ditrin. Obozów w okręgu kołymskim było dużo, ale nie potrafię powiedzieć ile - chyba kilkadziesiąt. Były to kopalnie różnych rud, m.in. kopalnie złota, ale później, jak już zrobili te obozy dla politycznych - spekulagiera - to wszystkich politycznych z kopalni złota zabrali /niezgodne z relacjami mężczyzn z Kołymy - przyp. red./. Wyszło to im tylko na dobre, bo tam były straszne warunki - kopalnie pod ziemią, sztolnie i bardzo dużo wypadków.

Na Wakchance, oprócz tej tzw. fabryki, pracowało się przy wyrębie lasu. Tam wszystko opalało się drzewem: elektrownię i wszystkie baraki. Poza tym pracowałyśmy przy budowie dróg, wywozie drzewa i na tzw. sopce, czyli na hałdach kasyterytu. Wybierało się z tych hałd resztki kasyterytu i przemywało w takich malutkich niecuszkach. Do roboty chodziło się piechotą - kilometrami. Ja pracowałam różnie: na tzw. lesopowale, czyli wyrębie lasu, pracowałam przy budowie drogi, na wiosnę - przy czyszczeniu drogi /tego "PierewaJa podumaj"/, pracowałam przy wybieraniu z hałd kasyterytu. Największy obóz pracujący przy wyrębie lasu - zależny od Wakchanki, odległy od niej o 6-7km - to był Ditrin, gdzie był specjalny wyręb lasu. Pamiętam, że krakowianka, z którą pracowałam w Tałonnem przy inspektach /kiedyś trzeba było tam coś przepiłować i piłowałyśmy razem piłą/ - powiedziała: "nieszczęśliwy będzie ten, kto będzie z tobą pracować przy wyrębie lasu" - i właśnie ona mnie uczyła na wyrębie lasu piłować. Ja za bardzo przyciskałam piłę i wtenczas jest bardzo ciężko partnerowi piłować. Drzewo, które się spiliowało z pnia, trzeba było obrabiać z gałęzi, pociąć na dwumetrowe kawałki i ułożyć w sążeń. Były bardzo duże normy. Oczywiście trzeba było kombinować jak tylko można: podkładało się różne sęczki, patyczki, nieraz to były takie budowle, że architekt by się nie powstydział. Wszystko zależało od konwoju: jeżeli trafił się jakiś paskudny konwojent, to wówczas deptał, wskakiwał na te sążnie i zawalał je. ~~Konwojem~~ Brygadzystą był przeważnie jeden z więźniów, a ponieważ przeważały Rosjanki i jemu też zależało, żeby więcej zrobić, bo wtedy brygada dostawała dodatkowo 10 dkg chleba i jemu też się lepiej

→ str. 26.

Vuzup.
- str. 25a
25b.

przy ~~rodzisz~~ ~~drog~~, wożeniu san z drzewem / w charakterze konia/, przy kopaniu rowów do badań geologicznych i szurków. Rowy kopaliśmy w ten sposób, że kuliśmy otwór na ładunek wybuchowy, który zakładał wolny. Po wybuchu wchodził do rowu i wyrzucał kawałki pokruszonej skały. Praca ta była bardzo ciężka i gdyby nie to, że to co wyleciało w powietrze przy wybuchu zaliczano nam do normy, to stale byłibyśmy bez "pajki normalnej".

Było kilka wypadków, bo ten, który zakładał ładunki nie policzył wybuchów. Wtedy, przy uderzeniu łomu lub skały ładunek wybuchał - zwykle raniąc śmiertelnie lub od razu zabijając. Przy pracy w szurku ja sama omal nie spowodowałam wypadku. Pracowałam z Ukrainką, silną dziewczyną, która do połowy beczki /po benzynie amerykańskiej/ ładowała w szurku ziemię pozostałą po wybuchu. Ja zaś na powierzchni przy pomocy kołowrotu wyciągałam beczkę i wysypywałam ziemię. Ponieważ brzegi szurku były obmarznięte i łatwo się było poślizgnąć, prosiłam dziewczynę, żeby nie nasypywała beczki do pełna, bo jest bardzo ciężka i mogę ją upuścić. Ta nie słuchała i wymyslała mi, że przeze mnie nie robi normy. W pewnym momencie poślizgnęłam się, beczka wyrwała mi się z rąk i poleciała w dół. Struchlałam. Cisza... po chwili usłyszałam przekleństwa pod moim adresem - żyła! Co za ulga - nic jej się nie stało, bo zdążyła uskoczyć w bok.

X Nieraz zatrudniali nas przy wożeniu drzewa i "słannika" / karłowaty cedr - nasza kosówka/ z lasu odległego o kilkanaście kilometrów do Centralnego Wodowodu. Było to urządzenie, gdzie podgrzewano wodę, która szła do "fabryki", w której przemysłowano rudę. Robiliśmy zwykle po 3 kursy. Pracowało nas ok. 20-30 osób - parami. Ciągąc te sanie czuliśmy się jak zabiedzone, zmęczone, głodne szkapy i ta praca bardzo nas przybijała. Żeby nie poddawać się temu nastrojowi opowiadaliśmy sobie różne zdarzenia z wolności i "gotowaliśmy"; można było usłyszeć najrozmaitsze sposoby przyrządzania smakowitych potraw. Poza tym, podziwialiśmy przyrodę, która choć surowa i smutna była bardzo piękna. Przeciętne było załamanie i rozszczepianie światła. Np. przy dużym mrozie, w słoneczny dzień, na niebie pojawiała się tęcza, która kładła się aż na śniegu na zboczach górskich, odbijała się na niebie i na śniegu, a jej odbicie ze śniegu znów na niebie i widziało się podwójne tęczę.

Często chodziliśmy po lodzie: rzeka zamarzała do dna, tak że było widać każdy kamyczek, a lód był na 1,5 - do 2 m grubości. Przed dużym mrozem spod lodu wybijała woda, która tryskając zamarzała w różne fantastyczne figury. Fauna i flora były też bogate. Były lisy, niedźwiedzie /b. dużo/, gronostaje, łasice, wiewiórki, mnóstwo ptactwa wodnego: gęsi, łabędzie, kaczki itd. Było bardzo dużo kwiatów, przeważnie żółtych, modrzewie złote na jesieni, przepiękne mcny, które na jesieni przybierały barwy od jasno-żółtej poprzez zieleni do ciemnej czerwieni /chodzi tu raczej o porosty - przyp. red./.



wiodło, więc patrzył przez palce na to, co my robimy. Często ładne okazy drzew /były to modrzewie/ przeznaczano na budulec. Trzeba było je oczyścić z gałęzi, odciąć wierzchołek i wynieść do bardziej dostępnego miejsca, skąd zabierał je traktor. Kilka więc kobiet dźwigało na ramionach - nieraz po kilka kilometrów - olbrzymie drzewa. W zimie, kiedy drzewo było potrzebne nie tylko na opał, ale na uruchomienie elektrowni /węgiel tam nie było/, woziło się je po kilka kilometrów saniami. Trzeba było parę kilometrów wciągać sanie pod górę - na Tsopkę, a następnie naładowane zwozić ze stromej góry - biegiem, przytrzymując sanie, żeby się nie rozbiły. To było ponad siły wycieńczonych kobiet. Norma była bardzo duża a dopóki się jej nie wykonało - nie odprowadzano do obozu. Nieraz było tak, że do obozu przyprowadzano nas rano przed samą pobudką, nakarmiono karną racją chleba i herbaty i zaraz odprowadzano z powrotem do lasu.

[W tych spektaklach należących do "Bieriegowych Lagierej" - ~~nazwy~~ /nazwa ta odnosiła się do wszystkich kołymskich obozów/ nastąpiła zmiana - w stosunku do tego, co było np. w Tałonnem. Tam wyprowadzała nas z obozu do pracy tzw. wochra, tzn ci, którzy pracowali w więziennictwie i pracowaliśmy nie pod konwojem, tylko pod tzw. konwojennym nabliudijem, tzn, że konwojent nie siedział, nie czekał, nie pilnował, tylko od czasu do czasu chodził i pilnował co kto robi i sprawdzał czy się jest. A w Wakchance była nie "wohra", tylko ci, którzy służyli w oddziałach NKGB, czyli nasze MSW. Można powiedzieć, że myśmy na tym zyskały, gdyż byli to ludzie, którzy odslugiwali wojsko /?/ akurat w danych jednostkach, więc trafiali się LUDZIE wśród nich. Ale jak się wychodziło do roboty, to trzeba było mieć ręce do tyłu i tak się szło. Ci, którzy byli względni, to jak się odeszło z obozu, to kazali ręce opuścić, ale byli tacy, co kazali od początku do końca tak iść. W ogóle podobno w Bier-lagach był przepis, że powinno się więźniów wyprowadzać w kajdankach. Ale ze względu na klimat tego nie robili. A klimat był bardzo ostry, w zimie mroz dochodził do szesćdziesięciu paru stopni. Ja osobiście przeżyłam 63° mrozu. Nie było tylko wiatru. Jeżeli było 52°, to już nie wypuszczali na odkryte roboty - o ile dyżurny na wachcie znał się na termometrze. Jeżeli nie

to się wychodziło na robotę i wtedy żadnej pracy nie było, bo siekiera wzięta do ręki, albo piła, dosłownie przez rękawice kłuła w ręce, a ogień, który się rozpaliko - nie grzał zupełnie.

Na zimę dostaliśmy spodnie watowane i "ciepłogrejki" /tzw. buszłaty/ - takie kurtki 3/4 - też watowane, ale to nie zawsze było. Wszystko było bardzo zniszczone. Czasem dawali walonki, stare, które przywozili z frontu. Wszystko było bardzo mokre, szczególnie na wiosnę, gdy śnieg był mokry.

Tam śnieg nie padał płatkami - tak jak u nas - tylko przeważnie była zamieć i miotło płaskim śniegowym. Była jeszcze jedna praca: jak zawiało kołejkę w czasie zamieci, to nocami nas pędzali na odśnieżanie kolejki. Wdsnieżało się podczas zamieci, wiatr dosłownie wyrwał łopatę z ręki i zasypywał ślad. Wtenczas najłatwiej było się odmrozić, chociaż mróz był 4-5 st. tylko - ale ten pył ze śniegu zamarzał na twarzy. Te brązowe plamki na twarzy, które mam - to są ślady właśnie po tym... Poza tym, odmrażało się nogi, dlatego, że walonki były dziurawe, łatanne, nie na ten klimat i w ogóle myśmy przy tych mrozach nie miały jednej wełnianej nitki na sobie - tylko bawełna i jakies płótno.

W wakchance przez jakiś czas był straszny komendant - nazywał się major Kryłow. Jak nas przyjechało etapem na wiosnę ok. 1300 osób, to następnej wiosny ludzie byli strasznie wycieńczeni - tzw. dochodiagi - dosłownie cienie z ranami na nogach spowodowanymi awitaminozą i szkorbutem. Jak przyjechała jakas komisja, to stwierdziła, że tylko 10 osób miało 1-szą kategorię /zdrowia, a reszta to byli ludzie spuchnięci z głodu, wycieńczeni z powodu piekielnego klimatu i pracy ponad siły. Do pracy szło się często po jakichs kładkach, kładeczkach, różnych drzewkach, nieraz po pas w śniegu. Jeśli był konwojent, który się nie bał, to się buntował, bo oni mieli takie rozporządzenie, że powyżej 3km konwojent nie ma obowiązku iść, tylko trzeba jechać. A np. w obozie na Ditrinie, gdzie był wyrąb lasu /trudno mi powiedzieć, kiedy ja byłam na Ditrinie, bo byłam tam parę razy - jak potrzebowali robotników, to brali stąd, potem odwozili słabszych/ było tak, że na wiosnę rzeka wylała i prze-

ciężła drogę. Naczelnik obozu /już nie Kryłow/ wydał rozporządzenie, że jeżeli woda do butów się dostaje przez wierzch, to nie wolno ludzi wypro-
dzać na robotę, a przecież obóz, jeżeli oddaje ludzi na robotę do przed-
siębiorstwa. to jemu za to płać, nie patrząc na to, czy ludzie coś zro-
bili czy nie zrobili, wobec tego przedsiębiorstwo przysyłało cięża-
rówkę i traktor z saniami. Z obozu jechaliśmy ciężarówką do miejsca, gdzie
droga była przecięta, dalej ciężarówka nie mogła jechać, bo świece zale-
wało, więc przesiadaliśmy się na sanie przyczepione do traktora i jecha-
liśmy kawał przez rzekę, w lodowatej wodzie do pasa. Później wysiadaliśmy
zdejmowaliśmy z siebie spodnie, wykręcałyśmy z wody, kładłyśmy to
wszystko mokre na siebie, wsiadaliśmy znowu do samochodu i jechaliśmy na
miejsce tego wyrębu lasu. Oczywiście normy nikt ~~z~~^{od} nas już nie egzekwował,
bo przecież rozumieli, że jest to niemożliwe. Z powrotem droga wyglądała
tak samo. Efekt był taki, że ludzie zaczęli chorować - zaczęły się wrzody
karbunkuły. Ja miałam je kilka razy. Raz miałam 7 karbunkułów w pasie
i 40° gorączki. Przychodziłam do saneczki, gdzie mierzyli mi jednoczes-
nie temperaturę pod dwiema pachami i mówili: "odkuda u was taką tempe-
raturę?" - Mierzyli dwoma termometrami sprawdzając, czy ja przypadkiem
nie mam jakiegos nagrzanego kamienia, butelki z gorącą wodą, czy nie wiem
już czego. Ja mówię - że temperatura jest od tych wrzodów, a oni? "nie,
od tego nie bywajet" - a karbunkuły to przecież najcięższe wrzody. Tam
byli przeważnie felczerzy. Koniec końcem położyli mnie do szpitala, zaczę-
li dawać sulfamidy /sulfatiazol/ - proszeczki, po wzięciu którego strasz-
nie mnie mdliło. Ale już o opatrunkach nie było mowy: leżę w szpitalu,
więc po co mi opatrunki? Z tego wszystkiego ciekła ropa - do dzisiaj mam
blizny. Jak miałam na piersi wrzód z trzema otworami, to chodziłam na
robotę i absolutnie mnie nie chcieli z niej zwolnić - chodziłam do lasu
piłować drzewo. Kiedys poszłam na opatrunek, przyszła dozorczyńni i zapy-
tała mnie, czy mam zwolnienie. Mówię, że nie mam, więc ona wtedy wsiadła
na tę felczerkę; jak ona może mi nie dać zwolnienia, bo ona sama miała
taki wrzód i wie jak to boli - i tylko dzięki niej dostałam zwolnienie.

X Kiedys nas wieźli przez las na saniach traktornych i jednej z dziewcząt /lwowiance/ noga trafiła między sanie a drzewo i zgmiotło jej piętę i nie mogła chodzić. Poszła do lekarza, a chodziły wtedy na sopkę - 16 km - rudę wymywać, wraca z płaczem do baraku i mówi: "ja się muszę już zapisać gdzieś do akrobatów". O co chodzi? A lekarka powiedziała jej tak: "diewoczka, na rabotajetie, no nie zabudtje wsio wremja nogu wwierch dierżat". Dziewczyna chodziła na robotę..... potem miała odmrożony i ~~amputowany~~ amputowany pierwszy staw dużego palca u nogi.

Wracając do transportu, to mimo przepisów, nie dowozili nas do miejsca pracy, bo - jak przypuszczam - przedsiębiorstwo nie miało tylu ciężarówek.

Pewnego zimowego wieczoru przyszedliśmy z roboty, tylko zdążyliśmy się przebrać i weszła dozorczyń i wyczytała kilka kobiet /mnie wśród nich/ na robotę na noc. Trzeba było jakiś wał /detal z elektrowni/ przeprowadzić do szosy idącej do Uściumčika /~~my~~ przez Pieriewał Podumaj - jedyną drogę prowadzącą do obozu. /kuta w skale/. Była ona wąska, zrobiono tylko kilka rozjazdów, żeby samochody mogły się wyminąć. Tamtędy w lecie przywożono zapasy żywności i ubrań do obozu. W zimie zawiewało ją zupełnie, a zbity śnieg tworzył pochyłość. Traktor nie mógł się utrzymać na tej drodze i trzeba było w śniegu kopać rowy poł koła, żeby się nie zeslizgnał. Szliśmy więc przed traktorem w prawie 50-stopniowym mrozie i kopaliśmy ten rów. Na przełęczy hulał wiatr. Doszliśmy do nagich skał, gdzie nie było nawet słomki, żeby rozniecić ogień. Przy traktorze - na łopacie - tliły się węgle, żeby można było ogrzać zgrabiałe ręce. Konwojowało nas 2 żołnierzy. Jeden - naczelnik konwoju na uczałek, zjechał ze szczytu przełęczy na dół do Uściumčika, aby zawiadomić, żeby zabrali wał. Myśmy mieli iść szosą na jego spotkanie. Rano dobrnęliśmy do szosy, traktor odczepił wał i udał się w powrotną drogę przez "Pieriewał". Myśmy poszli z konwojentem szosą na spotkanie komendanta. Szosa była ruchliwa, ciągle mijały nas ogromne ciężarówki jadące na "pryski" lub wracające z nich. Po przejściu kilku kilometrów doszliśmy do niewielkiego domku, w którym zatrzymywali się kierowcy. Konwojent widząc, że wszystkie jeste

my zmarznięte, postanowił zatrzymać się tam dla rozgrzewki. Weszliśmy do izby zadymionej i strasznie brudnej, ze ścianami całymi w rysunkach przedstawiających gołe kobiety. Kilku mężczyzn, o dzikich bandyckich twarzach grzało się przy ogniu. Na nasz widok bardzo się ożywili. Zaczęli zapraszać do ognia, znalazł się spirytus, którym poczęstowali konwojenta i proponowali nam. Ponieważ odmówiliśmy, narazie dali nam spokój, ale kiedy konwojent się upił, zaczęli się do nas zalecać i to bardzo natarczywie. Była między nami jedna Rosjanka /trochę błatnaja/, która była na nas oburzona, że się nie zgadzamy na niedwuznaczne propozycje. W końcu mężczyźni zaczęli nam grozić. Wtedy podniosiliśmy konwojenta, który ledwo trzymał się na nogach. Nastraszyliśmy go, że naczelnik czeka na nas, wyprowadziliśmy z domku i ruszyliśmy do Uściumčika. Pochód wyglądał tak: na przodzie dwie prowadziły pod ręce słaniającego się konwojenta, za nim trzecia niosła karabin /można było uciekać, ale gdzie?/, na końcu reszta. Kierowcy z domku wsiedli do samochodu i jechali tuż za nami obrzucając nas przezwiskami i grożąc. Przeszliśmy tak parę kilometrów, bojąc się, że lada moment bandyci mogą się na nas rzucić. Raptem, zza jakiegoś zakrętu zjawiała się jakaś postać, w której po kilku chwilach poznaliśmy komendanta. Konwojent od razu wytrzeźwiał, a myśmy pierwszy raz w życiu ucieszyli się z obecności konwoju. Wróciliśmy do obozu na przełaj przez góry. I tej nocy pozwolono nam spać.....

Čęsto w wolne dni od roboty lub też po przyjsciu z pracy, naczelnicy obozuogłaszali tzw. "udarnik", czyli pracę dla obozu, żeby przypadkiem więźniowie nie rozleniwili się bezczynnością. Polegało to na przynoszeniu drzewa opałowego lub budulca do obozu, sprzątaniu obozu itp. Raz taki "udarnik" skończył się tragicznie. Było to na Ditrinie. Podzielono nas na dwie grupy. Jedną posłano po drzewo opałowe, drugiej kazano przepłynąć się przez rzekę Ditrin - po jakimś budulec. Do dwóch łodzi wsiadło po 6 czy 8 kobiet, przewoźnikami byli konwojenci. Prąd był bardzo szybki, bo Ditrin to jest duża górską rzeką, która wtedy była wezbrana po deszczach. Jedna łódź szczęśliwie przepłynęła, a druga na środku zaczęła tonąć. Okazało się, że była dziurawa. Mimo ratunku dwie kobiety

utoneły, wśród nich jedna Polka - Frania /nazwiska nie pamiętam/ z Bojar pod Grodnem. Historia Frani była taka: skomunizowana banda chłopów w 39r. zamordowała właściciela majątku - hr. Krasieńskiego i jego rządcę - męża Frani. Po wejściu Niemców - powiesili mordercę, którego im wydała kuzynka właściciela majątku. Później sowieci aresztowali Franię - oskarżając ją o wydanie tego mordercy. Siedziała więc zupełnie niewinnie....

Konwojenci byli różni. Wśród nich często trafiali się ludzie, bo też i często mieli aresztowanych w rodzinach. Był taki wypadek, że konwojent spotkał się ze swoją siostrą aresztowaną. Oczywiście zaraz go przeniesli. Byli jednak wśród nich okrutni, nienawidzący więźniów /="faszystów"/ i znęcający się nad nimi. Kiedyś szliśmy 16 km na sople - na halde. Konwojował nas Fin. Był on wprost nieludzki. Kazał cały czas iść z rękami do tyłu, a jeśli ktoś je opuszczał lub nie równał szeregu, zatrzymywał całą kolumnę. Ponieważ były roztopy i ogromne błoto na drodze a myśmy byli w podartym ubraniu i obuwiu, staraliśmy się omijać większe kałuże, żeby jak najmniej przemoczyć się. W trakcie omijania jednej z dużych kałuż Fin wydał rozkaz: padnij. Kazał nam położyć się do wody, stał i usmiechał się. Po paru minutach zniecierpliwione zaczęliśmy się poruszać. Dwie kobiety podniosły głowy, wtedy on zarepetował i strzelił - zabił je obie. Jeden z konwojentów ^{zameldował} ~~zameldował~~ o tym zaraz garnizon ze sztolni. Było dochodzenie, aresztowano tego Fina-konwojenta, miał być sąd, parę kobiet miało świadczyć, ale wszystko się rozplynęło i przyschło..... konwojenta przeniesli gdzie indziej.

Po śmierci Stalina zaczęli nas lepiej karmić - prócz pajki chleba /dawnego przydziału/ leżał już chleb pokrajany na stole. Zaczęli nam też płacić za robotę, tzn dawali nam 100 czy 80 rubli, a reszta szła na konto. W obozie była kantyna, tzw. łazik, w której można było kupić chleb, tłuszcze z różnych zwierząt/konbinżyr - zmieszany tłuszcz z różnych zwierząt, zakrzepnięty/, czasem cukier. Tak że głodu nie było.

W roku 53 - etap do Magadanu. Obóz, do którego nas zawieziono był zdaje się na 18 kilometrów od Magadanu. Było jeszcze ciepło. Przyjechaliśmy, było tam dużo Polek z naszych terenów, lwowianek i innych. ~~Były~~

Zaczęłam pracować na tzw. kirzawozie, czyli w cegielni - jeszcze jako więźniarka. Praca wyglądała tak: do ogromnych dołów kilkudziesięciometrowych wożą całe lato glinę, wrzucają ją tam, potem zakrywają deskami, zaczynają ją podkopywać i robią stemple - tak jak w kopalni. Wykopaną w zimie glinę woziło się na transportery, brało do cegielni i wyrabiało cegłę. Bardzo dużo dziewcząt pracowało przy wwożeniu tej cegły na taczakach do pieca lub wywożeniu jej z pieców. Jeszcze dzisiaj, jak widzę jedną z tamtych znajomych, to widzę ją całą zasmoloną, czarną - wywożącą z pieca cegły. Pracowaliśmy na dwie zmiany: w dzień i w nocy. Ale nawet jak miałyśmy nocną zmianę, to budziłyśmy się rano jak na komendę, bo budziła nas polska piosenka nadawana z płyty w radiowęźle: "Na dole most, na górze most..." - śpiewana po polsku. Dyżurna zawsze się śmiała i mówiła: "nigdy żadna z was polskiej piosenki nie przespi i nigdy was nie trzeba budzić". W tym obozie przy Magadanie też płacili nam za pracę. Już zbliżał się termin zakończenia "odsiadki", coraz to już ktos wychodził na wolność i człowiek zaczynał myśleć, że ~~xx~~ a nuż przyjdą do niego i powiedzą że się wychodzi na wolność.... Trzeba tu zaznaczyć, że jednak człowiek bał się tej wolności, dlatego, że wiadomo było że do domu nie puszczą, wywiozą gdzieś i każą się osiedlić. W którymś roku bowiem /51,52 ? - sprawdzić - przyp. red./ Stalin wszystkim z paragrafami politycznymi /54,58 ukraiński k.k., 63 białoruski/ dodał do wyroku bezterminową zsyłkę. Bałismy się tego - nie wiadomo gdzie, w jakich warunkach, nie wiadomo czy będziemy mieć pracę i siły, żeby zarobić na ten kawałek chleba - żeby móc przeżyć. Co drugie, tutaj byliśmy zaprzyjaźnione, tam - człowiek znajdzie się w środowisku zupełnie obcym i nawet może wrogiem. Faktycznie więc - bałismy się tej Wolności. Człowiek jednak musiał się trochę do tego przyszykować, cos musiał ~~nie~~ mieć ze sobą, przede wszystkim kołdrę - żeby móc się czymś ^{(na} przykryć. Dziewczęta, które pracowały, miały kogos znajomego z wolnych, w jakimś sklepie była wata i przez tę wolną kupiły watę i pokrycie do kołdry. Jedna z Ukrainek robiła te kołdry. Za drutami był obóz męski, w którym robili buty. Kiedys tak siedzimy, rozmawiamy i jedna z dziewcząt

zaczyna pytać jakie są wymiary ludzkiego ciała, proporcje, ja mówię, że noga w łydce powinna być takiej grubości jak szyja. Więc zaczęły wszystkie mierzyć szyję i łydki. Jeszcze przed wyjściem były moje imieniny i okazało się, że na imieniny dostaję od dziewcząt buty z cholewami! One tę rozmowę specjalnie prowadziły, bo szukały sposobu, żeby mi zmierzyć nogę. Były to tzw. kierzowyje, u góry miały jakąś ceratę, czy coś w tym rodzaju, ale w każdym razie były to buty - czyli wielka elegancja. W tych butach wyszłam na wolność i bardzo często myślałam o tym zdarzeniu, bo bardzo mi się przydały.

* Na wolność wyszłam w kwietniu 54r. - z Wakchanki wyjechałam w 53r. Pewnego dnia powiedziano mi, że nie idę do roboty, zostaję w zonie, bo idę na wolność. Więc jeden dzień siedzę, drugi dzień siedzę, trzeci dzień siedzę, zrobiło się nudno, bo dziewczęta chodziły na robotę. A siedziałam tak długo, bo musieli przyjechać po mnie z miejsca osiedlenia - z Oły. - tam, gdzie miałam mieć zsyłkę. Oczywiście ja nie miałam pojęcia dlaczego tyle czasu siedzę i czekam i gdzie mnie wywiozą. W końcu dwie Estonki, mnie i dwie Ukrainki wezwano na wachtę, kazali podpisać oświadczenie, że się będzie trzymało w tajemnicy wiadomości o tym, co się dzieje w obozie. Załadowali nas na samochód ciężarowy, bez żadnych dokumentów, pojechaliśmy do Magadanu, dowiedzieliśmy się, że kuter odchodzi dopiero rano. Był tam jakiś kierownik sowchozu, żeby zabrać ludzi. Nie dali nam również żadnych pieniędzy, które miałyśmy na koncie, nie mówili dokąd pojedziemy, nie dali prowiantu, nie miałyśmy ze sobą absolutnie nic... Ten reprezentant sowchozu powiedział, że ponieważ jedziemy na Ołę, a kuter będzie dopiero rano /bokuter odpływa z odpływem morza/, wobec tego, jeśli ktoś ma znajomych w Magadanie, to może u nich przenocować, tylko żeby rano być na taką a taką godzinę. Ponieważ dziewczęta, które wcześniej zwolniono, były w Magadanie, to poszłam do nich na noc. Myślałam, że może mi pomogą zostać w Magadanie i pracować tam razem z nimi w fabryce obuwia, czy gdzie indziej. No, ale niestety, mąż jednej z koleżanek powiedział: "dobrze, że pani jedzie na Ołę, tam będzie

dużo witamin, dużo wszystkiego", no, ale robota, to jest robota - inna. Na drugi dzień popłynęliśmy na Okę. Jak przyплыliśmy - był już wieczór ludzie wyszli z kutra, nikt nic nie wie, dyrektor sowchozu wyjechał, agronom jest, ale personalnej nie ma, pomieszczenia dla nas nie ma i w ogóle nikt nic nie wie. Więc tak siedzimy, przyszło kilka wolnych Ukrainek i wzięły do siebie nasze Ukrainki, a my tak siedzimy. W końcu umiescili nas w domu, który budował taki dziadzia Misza. Miał tam jeden pokój, w którym on sam mieszkał i nas trzy tam wpakowali. Jesć nie mamy co, dziadzia dał nam kartofli, czy czegos, ale agronom przysłała nam koszyk kartofli, bo wiedziała, że nie mamy co jesć i nie mamy za co kupić. Żadnych zaświadczeń lub zwolnień z obozu nam nie dali. Papiery dostał ten co nas przywiózł i oddał komendantowi. Może jednak komendant dostał inną drogą służbową te dokumenty, w każdym razie on je miał. Na drugi dzień przyszło dwóch Polaków, którzy tam już mieszkali, porozmawiali z nami i powiedzieli, że tu jest sowchoz, wylęgarnia drobiu, moł-ferma, czyli hodowla krów i świń, więc jeżeli chcesz, cos zarobić, to trzeba powiedzieć, że się cos umie. Przyszła agronom, pyta, gdzie ~~xxx~~ pracowałam, więc mówię, że pracowałam przyinspektach /a ja tylko pielizałam te inpekty/. + jeszcze za czasów okupacji pracowałam w jajczarni i tam moja koleżanka pracowała przy inkubatorze. Mysmy tam nieraz chodziły pisklęta oglądać, więc mówię, że pracowałam przy inkubatorze, ale zaznaczam, że u nas był inkubator elektryczny. Agronom powiedziała, że tu jest naftowy, ale to prawie to samo, więc myślę: "Święty Jacku, jak mni dadzą do tego inkubatora, to trzeba będzie cos kombinować, żeby te kurczaki nie pozdychały". Ale ona powiedziała, że więcej im potrzeba ogrodników do inspektów i tam mnie angażuje. [Przy inspektach pracowały: dwie Rosjanki, Niemka nadwożańska, Łotyszka, ja, potem przyszła jedna Ukrainka. Kierownikiem sowchozu był Wasilij Wasiliewicz, który też siedział, a po zwolnieniu pracował w Ole. Początkowo zapełniałyśmy inpekty do 2 m głębokości rozgrzanym nawozem i ziemią, a potem sadziłyśmy rozsade kapusty, a następnie ogórki.

Jak nie wiedziałam, jak co robić, to pytałam: słuchajcie, jak to się u was robi, bo tam, gdzie ja pracowałam, to się robiło inaczej - i w ten sposób dowiadywałam się od nich jak co się robi. Trzeba było przecież jakos kombinować. Pracowałam przy tych ogórkach, więc wszyscy znajomi je jedli, ja najmniej, bo jak się zaczynało je użyżniać, to nie można było na to patrzeć. Pracowaliśmy 10 godzin. Rano przychodziło się, zrzucało maty, otwierało się okna i zaczynało pracować. Ponieważ tam pszczoły i motyle są rzadkie, więc te ogórki były zapylane ręcznie: kładło się w poprzek inspektu deskę i przytulało kwiat do kwiatu - żeński do męskiego. Były bardzo duże normy, które należało wykonać dla jednego okna i nikt w życiu takiej normy by nie zrobił. Wobec tego brałysmy inspekty nie zarejestrowane, pracowaliśmy tam i urodzaj z nich dopełniał braki w zarejestrowanych, tym bardziej, że jak jakiś naczelnik przyszedł i kazał sobie dać ogórków, to trzeba mu było dać.

[Tam w połowie czerwca zaczyna się wiosna /bo to jest nad morzem/, tylko że nie ma wiosny tak jak u nas, tylko od razu robi się gorąco i śnieg topnie natychmiast. Wiosna /a raczej/ lato trwa przez czerwiec, lipiec do połowy ~~xxxxxxx~~ sierpnia, a na wybrzeżu do końca sierpnia. W lecie są dosłownie całe chmury komarów. We wrześniu zaczyna padać śnieg i już się robi zima. Jest takie powiedzenie: "Kołyma, Kołyma, cudnaja Płanieta, odint^acat miesiąc zimy, ostalnoje leto". Rzeczywiście, bardziej na północ, w tajdze, gdzie mrozy dochodzą do 60st., tam rzeczywiście lato jest bardzo krótkie i trwa do połowy sierpnia; pamiętam, że raz 15 sierpnia padał śnieg. Ale lato było upalne, temperatura dochodziła do 37-38st. i wszystko dosłownie w oczach się rozwijało. Oprócz komarów były zzw. meszki - drobnutkie muszki, które u nas też są. Muszki te gryzły przede wszystkim koło oczu i ręce po wewnętrznej stronie, bo tam jest cieńsza skóra. Były tak jadowite, że człowiek puchł od ich ukąszeń. Żadne nakomarniki czy siatki, które dano nam w Tałonnem /uszyte jak wiadro - z płótna z maleńkim okienkiem z tiulu/ nie pomagały. Kierownictwo natomiast miało nakomarniki całe w tiulu. W naszych trudno było pracować, bo było bardzo duszno. Meszka leżała się

w lipcu i wtedy była taka malusienka, że w ogóle jej prawie nie było widać /tzw. maszkarec/ i w ogóle nic nam nie pomagało. Komary ginęły już przy przymrozkach, a muszki żyły do -5° . Oprócz tego, jak był upał, to pojawiały się takie ~~kóxa~~ baki końskie, bydlęce i owady w paski, podobne do osy, które od razu przecinały skórę - takie były przyjemności. Motyla widziało się bardzo rzadko, trzmiela też, bo to wszystko wymarzało. W sowchozie płacili stosunkowo nieźle jak na tamtejsze stosunki, z tym, że nie było gdzie pieniędzy wydać, nie było co kupić. Kupowało się żywność, poza tym w jednym sklepie było wszystko /magazin de nouvele/ - mydło, szydło i powidło - wszystko tam było, można było dostać nawet jakąś bluzkę. Żadnych książeczek oszczędnościowych nie było - i na szczęście, bo wszystko by przepadło. Ponieważ pracowałam w sowchozie, więc mogłam dostać kartofle nasienne i działkę - dwa ary i mogłam na niej zasiać kartofle. /zapas na zimę/. Ponieważ tam kartofle były na wagę złota, bo hodowało się je tak, jak u nas pomidorynp., więc myśmy tak wykombinowali, że oprócz tej działki, którą ja dostałam, każdy sobie zrobi działkę gdzieś tam w lesie i będziemy je wspólnie uprawiać. Jeżeli bowiem może pozwolą nam kiedyś wyjechać do Polski, ale na własny koszt, to za co pojedziemy? Uprawialiśmy więc te działki kolejno - jednego dnia u tego, drugiego u innego itd. Po zbiorze kartofli mężczyźni jechali do Magadanu, zostawiało się kartofli tyle, co na jedzenie, a resztę się sprzedawało.

Początkowo mieszałam w baraku robotniczym. Było to straszne, bo z czasem przyjeżdżało coraz więcej zwolnionych ludzi. Było ciasno i musieliśmy nawiązywać znajomości z różnymi bandytami, którzy liczyli na to, że jeśli ktoś ma już jakiś dom czy pracę, to od razu wyjdzie na gospodarstwo i będzie mu lepiej. Było to coś niesamowitego - żadnego odpoczynku, bo stale goście, stale się ktos kitłasił i w dzień i w nocy. W jednym pokoju w baraku było ze 40 osób. Nieraz było tak, że człowiek śpi, a obok - jakas z kawalerem. Ponieważ jedna Rosjanka, parnikowodka /= ogrodniczka, specjalistka od insektów/ proponowała mi mieszkanie

u siebie, więc ja zgodziłam się strasznie zadowolona. Oczywiście płaci-
łam jej za mieszkanie w kuchni, a ona z mężem mieszkała w pokoju. Poprze-
nio mieszkała u niej jedna Rosjanka, która wyszła za Estończyka, i wyje-
chała do Estonii. Mąż mojej gospodyni był Kozakiem z Kubania, który dos-
tał się do niewoli niemieckiej, po zwolnieniu Rosjanie go capnęli za-
rzucając mu - dlaczego on się do niewoli dostał i tam siedział. Jak od-
siedział "u swoich" /był na Kołymie/ - pojechał do domu. Okazało się,
że żona dostała zawiadomienie, że on zginął, wyszła za męża, ma rodzinę,
więc on się zabrał i przyjechał z powrotem. Wrzysnął do Oły dlatego,
że tam był zarobek lepszy, ponieważ to jest teren "do oswojenia" - jak
oni mówili - więc płacili dobrze. Tam się spotkał z tą moją gospodynią
- Walką, pobrali się i mieli dziecko. On był bardzo dobrym człowiekiem
jak był trzeźwy, ale bardzo pił i po pijanemu był bardzo zazdrosny o
żonę i ją strasznie tłukł. Ona wtedy uciekała do mnie. Kiedys omal go
nie trzasnęłam, a jak wytrzeźwiał, to powiedział: "Ira, ty mnie bij".
Kiedys mało dziecka z kołyski nie wyrzucił, tylko ja je na ręce złapałam.
Człowiek nie odpoczął więc jak należy, ale mówiło się trudno. Przycho-
dzili do mnie nasi Polacy, którzy tam też pracowali, nieraz chodziliśmy
wspólnie na spacer, do kina / bo kino było/. Tak samo tu, jak i w obo-
zie, jak się dostało list od swoich, z Polski, to wszyscy się zlatywali
czytali, wachali dosłownie ten list. I każdy wiedział o wszystkich spra-
wach każdego - po prostu tak, jak jedna wielka rodzina. Do dziś tak jest,
ponieważ myśmy wszyscy razem tyle przeżyli, to oni zawsze zrozu-
mieją, a rodzina nie zawsze. W czasie Świąt Bożego /tam nie było Bożego
narodzenia tylko Nowy Rok i te oktriabskie święta - dwa dni świąt/ nie
się nie robiło, więc przychodzili goście. Kiedys Walka mówi do mnie: Ira,
pomóż mi coś zrobić, żeby to było coś nadzwyczajnego. Ponieważ by-
ła jajka /bo ona kury hodowała/pod stołem/, była jakas sucha bułeczka,
więc ją utłukłam i zrobiłam taki malutki torcik - z masłem. To ona,
póki wszyscy mieszkańcy tego posiołka nie przyszli, czyli wszyscy gos-
cie, i nie zobaczyli tego tortu - to go nie rozkroiła. Taka była dumna
z tego tortu! Jak goście przychodzili, to zaczynało się straszne pi-

mogła przyjechać, a myśmy wiedziały, że jak się jedzie z Magadanu do 72-go to nikt przepustki nie sprawdza, więc bez przepustki pojechałam i wróciłam. - i zobaczyliśmy się.

[Ole była odległa od Magadanu o ok. 25 km - morzem, innej drogi nie było. W lecie jeździło się kutrem, a w zimie - (saniami po lodzie) zaprzężonym w konie. Na wybrzeżu były konie i o nie bardziej dbano niż o ludzi. Np. konie miały 3 godz. przerwy na obiad, ludzie tylko godzinę, jak był za duży mróz - konie nie wychodziły do pracy.

W Ole nie dostawałam z domu żadnej korespondencji, ani od kuzynki z Grodna, ani od niani / a ^{moja niania była taka, że} ~~nianie miałam taką, która~~ po moim aresztowaniu i wywiezieniu poszła do prokuratora z prośbą, że ona odsiedzi za mnie wyrok, żeby mnie wypuścili/. Jeszcze jak byłam w obozie to korespondencja przychodziła tylko w lecie, bo tylko morzem można było wszystko przysłać i wtedy można też było dostać paczkę. Ja dostałam jedną lub dwie paczki na rok - były to paczki składkowe od znajomych, to widać było, bo przecież nikomu się tam nie przelewało. Ale nieraz były w paczce np. nawinięte nici, a w nich list od mamy, która pisała do kuzynki - do wód, że mama żyje, albo inne tego typu rzeczy. Oczywiście, paczki były tak rewidowane i przewracane przy otwieraniu, że np. kiedyś dostałam kawałek spleśniałego kiełbasy i chcieli mi ją gwałtownie zabrać. Na szczęście nawinęła się lakerka i powiedziała, że ta kiełbasa nie zaszkodzi. Wachtowy był z tego bardzo niezadowolony.

[W Ole natomiast nie dostawałam żadnej korespondencji, a ponieważ znajomi nawet z Polską już nawiązali korespondencję, więc jeden z nich, którego rodzice byli w Białymstoku / tam też była moja mama/, powiada: "napisz list, podaj adres zwrotny i ja go wrzucę" - i rzeczywiście na niego zaczęła korespondencja przychodzić. W ten sposób nawiązałam korespondencję z mamą. Dziwiło mnie tylko, że mama pisze dużo o sobie, a nie o ojcu. Nie wiedziałam, że ojciec nie żył, chociaż moje współtpwarzyszki w obozie wiedziały o tym, bo raz przyjechał etap, w którym był ktos z Grodna i powiedział, że ojciec mój nie żyje. Ale one nic mi nie mówiły, bo ja bym się zamartwiała jak sobie mama radzi. Mama pracowała w

Akademii Medycznej w bibliotece. Pewnego dnia dostałam tą drogą "wyzew" od mamy. A jeszcze przedtem był taki moment, że jakichś Polaków, którzy mieli mniejsze wyroki wywieźli do Polski i jeden z nich był u mamy; zaraz potem wysłała ten wyzew z Warszawy /pomagała tam kuzynka/. Wyzew to jest poswiadczenie obywatelstwa, zaswiadczenie, że mieszkalam tam i tam - w Polsce - i że rodzina wzywa do przyjazdu. Oczywiście poszłam do komendanta, na co on: "O, pieczęć warszawskiego sowieta - mama wasza w Warszawie jeździła" - i kazał mi jechać do jakiegoś pułkownika, który zarządzał wszystkimi "zsylnymi" w rejonie Magadanu. Pułkownik popatrzył i mówi "napiszcie do Woroszyłowa". Napisałam do Woroszyłowa /on był od wszystkich aresztowanych/. Po pewnym czasie wzywają mnie do Magadanu i mówią, że Woroszyłow odpowiedział: "snał srok /tzn wyrok/ sudimost i odprawit na rodinu" - ale nie napisał żeby zdjąć "porażenie" w prawach /tzn. pozbawienie praw obywatelskich/. Więc na zdrowy rozum, jeśli napisał, żeby "zdjąć" to, że się było sądzonym i wyrok, to już powinno być automatycznie i tamto, ale oni mi kazali napisać do Mińska /Grodno podlegało prokuraturze głównej Mińska/. Napisałam, ale się już nie doczekałam odpowiedzi. Było to na początku 55r. Przedtem jeszcze przyjechał do nas jeden Polak zwolniony z obozu / z Si^wczanu, czy któregoś dalej na północ leżącego/ - pan Janek. Pochodził on spod Wołkowyska czy Słonima /nazwiska jego nie pamiętam, był nauczycielem/, tam miał rodzinę - żonę i dwoje dzieci, a ponieważ tu pracował, więc co zarobił, to wszystko posyłał żonie. Staraliśmy się trzymać wszyscy razem, więc ja np. często robiłam obiady w niedzielę, bo widzieliśmy, że on prawie nic nie je, bo wszystkie pieniądze żonie posyła. A ona do niego pisała listy, że za mało jej przesyła / a była o niego strasznie zazdrosna/, pewno wszystkie pieniądze wydaje na kobiety itd. Mysmy starali się go jakos podkarmić, więc dlatego organizowałam takie składkowe obiady: jeden przyniósł rybę, drugi kalafior, czy coś innego i tak się robiło.

¶ Któregoś dnia wracamy z roboty, ja szłam z którymś z chłopców, który pochodził też spod Wołkowyska /cała jego rodzina siedziała, ojciec umarł, a matka i siostra były w łagrze/ i spotyka nas magazynier z sowchozu

i mówi, że był komendant, kazał rozliczać wszystkich Polaków, bo jedziecie "na rodzinu". Boże Święty!- my lecimy prosto do komendanta, a komendant.... pojechał na polowanie i tego dnia wrócił późno. Ktos go jednak w końcu złapał, on potwierdził: "tak, tak, pojedziecie na rodzinu, likwidujcie swoje immuszczenstwo/nieruchomosci/". Kartofle były już wykopane, więc jeden z chłopaków kartofle wszystkie zabrał, pojechał do Magadanu i je sprzedał. Po jego powrocie komendant wyczytuje kto jedzie i - nie wyczytuje Janka! Okazało się, że on nie miał żadnego dowodu, listu lub wyzewu na potwierdzenie, że kogos ma w Polsce. Wtedy pozwolono wyjechać trzem osobom. W czasie, gdy my szykowaliśmy się do drogi, to Janek dostał list z domu. Idzie do komendanta - komendanta nie ma. Ponieważ kuter odchodził o świcie, więc tego dnia sowchoz dał nam samochód żeby dojechać do przystani. A ten Janek biedny /w czasie naszego odjazdu/ stoi, macha ręką, potem o słup się oparł i płacze.

Przyjeżdżamy do Magadanu, znowu punkt zborny, ale możemy z niego wychodzić, nikt nas tam nie pilnował. Spotykamy na ulicy Litwinkę - Anię Andryszkiewicz, która z nami była w obozie i ona mówi: "Ira, was to "zapotrzebowali? Jaka ta Polska jest, to jest, ale pomyślała o swoich obywatelach, ale kto o nas?"

Czekaliśmy tam kilka dni, przyjechał jakiś pułkownik mówi: słuchajcie, jeśli wiecie, że jacyś Polacy jeszcze gdzieś są, to powiedzcie nam i my ich sprowadzimy. Więc idziemy do tego pułkownika i jedna przez drugą mówi, że został tam taki i taki /chodzi o Janka/, że ma dowód i list i że został tylko przez przypadek. Pułkownik zapisał i obiecał, że na jutro sprawę załatwi. Lecimy do telefonu, dzwoniemy do Janka: szukaj się do Polski - jedziesz! Na drugi dzień rano kuter przychodzi, my lecimy o świcie na przystań - jest Janek i jest ten komendant: popatrzyła na nas i mówi: "Wy Polaki - sukinsyny, wy mnie swiniu podłożyli" - chodziło o to, że wyszło na jaw, że on zamiast zajmować się naszymi, czyli urzędowymi sprawami - polował.

X
Jeszcze przed naszym wyruszeniem z Magadanu przyszedł inny pułkownik z jakimś towarzyszem, rozmawiali z nami i robili propozycje tego typu:

a może ktos nie chce jechać-wracać do Polski, może chce zostać u nas, może mu się tu podoba, wtedy my damy mu nasze obywatelstwo, damy pracę i będzie mógł mieszkać i prosperować zupełnie dobrze, no, może się ktos zgłosi? - no, niestety nikt się nie zgłosił, a wszyscy się tylko śmieli.

Później nas wszystkich załadowali /tam chyba byli ludzie z całej Kołymy na okręt, który się nazywał "Felix Dzierżyński" - półtowarowy z dwiema kajutami pierwszej klasy czy drugiej, a reszta - klasa trzecia z 3-ma kombinacyjnymi pryczami. Na statku tym byli: Polacy - ok. 200, Niemcy, paru Rumunów, Czesi /Niemcy - to byli prawdopodobnie jeńcy wojenni, których wykorzystywano do pracy i dopiero teraz wypuszczono do NRD/, poza tym jechali z przyków najrozmaitsze szumowiny, bandyci itp. Na szczęście tak nas umieścili, w jednej części statku, że Polacy mniej więcej byli wszyscy razem. Chodziliśmy sobie po statku, a jak wypłynęliśmy na O. Spokojny, to obserwowaliśmy ten bezmiar wody, szary bezmiar, nigdzie nic nie było widać, aż nudno było. Gdzie niegdzie pokazywał się tylko jakiś stateczek i pojawiało się od razu mnóstwo takich małych kaczuszek... Płynęliśmy koło wybrzeży Japonii, widzieliśmy domki na wyspach, a w cieśninie Tatarskiej był okropny sztorm i bardzo kołysało. W nocy poczulismy duży wstrząs, a potem się okazało, że już szalupy ratunkowe były gotowe, był stan pogotowia. Kilka miesięcy potem - już w Polsce dowiedziałam się od znajomego, który później przyjechał, że w "agadanie oni nas już oplakali, bo podali przez radio, że nasz statek trafił na skałę podwodną i dopiero krążownik japoński nas stamtąd sciągnął. Po siedmiu dniach dopłynęliśmy do Nachodka. Na statku mieliśmy co dziennie obiady, odżywianie dobre, co dziennie były kotlety i jakiś barszcz, a poza tym dali nam od razu biało-czerwone proporzki do przypięcia - i byliśmy "iinostrancy", czyli cudzoziemcy. W głowie się nam to nie mieściło, bo gdyby dwie godziny przedtem człowiek przypiął sobie biało-czerwony proporzek, to by przecież nie wiadomo co zrobili, wołając pewno, że kontrrewolucjonista. A tu raptem stalismy się bardzo ważni. W czasie drogi żadna z kobiet nie mogła nigdzie wyjść sama -

dosłownie w drodze do ubikacji napadali bandyci. Tak że nasi panowie zbierali panie i je prawie wysadzali. Teraz, jak się spotykamy, to śmiejemy się: czy pamiętasz, jak cię wysadzałem?.

[Był to październik 1955r. - przyjechalismy do Chabarowska i była akurat rocznica rewolucji. A w Magadanie zaczął już padać śnieg.

W Nachodce nie mieliśmy chleba, dlatego, że zapas cały nam się skończył, a tu już nam nic nie dawali. Wprowadzili nas do poczekalni dla oficerów, a nasi panowie udali się po chleb / tam - w tej całej demokracji - jest osobna poczekalnia dla oficerów, osobna dla szeregowych/. Myśmy w tej eleganckiej poczekalni czekały, a nasi panowie wrócili... z całymi naręczami jabłek! Okazało się, że w budce portowej były jabłka - ale tylko dla innostranców. A ponieważ człowiek jabłek nie widział tyle lat, to oni zapomnieli o chlebie i przyniesli nam jabłka. Ludność tubylcza też chciała się dostać do tych jabłek, ale milicja ich odganiała, bo to tylko dla cudzoziemców. Po niedługim czasie /nie nocowaliśmy tam nawet/ załadowali nas do eleganckiego pociągu, ocieplanego, z lustrami, przedziały były 6-cio-osobowe z wysuwanymi siedzeniami, tak że można było spać i dojechalismy do Chabarowska.]

[W Chabarowsku podzielili nas na grupy. Grupę, w której ja byłam umieszcili w hotelu dla sportowców - tuż przy stadionie. W hotelu czekała na nas milicja, aby nam powiedzieć, że ponieważ my jesteśmy obcokrajowcy i może nie znamy miejscowych warunków. więc radzą, żebyśmy trzymali się grupą jak gdzieś wychodzimy i raczej nie należy wychodzić po zmroku / a stołówka była poza terenem hotelu/, nie należy nikomu przypalać papierosa, nie mówić godziny, dlatego, że są to zaczepki i często nawet mordują ludzi. A my jesteśmy obcokrajowcy i trudno by było sowieckiemu rządowi "rozliczyć" się z naszym rządem. Chodziliśmy więc w dzień do stołówki i czasem na spacer, żeby zobaczyć Chabarowsk, ale zawsze "pod eskortą". Wieczorami gotowaliśmy sobie w hotelu. Tam byliśmy parę tygodni, bo akurat była ta "oktriabska", pozwolili nam zobaczyć defiladę, na której widzieliśmy jak niesli portret Bieruta na patyku. Potem czekali na następny etap z bliższych miejscowości syberyjskich. Wreszcie podstawili duży eszalon eleganckich wagonów, ociepl

lanych, z dwiema konduktorkami w każdym wagonie, które paliły w centralnym i grzały wodę gorąco do picia. Nie mieliśmy tylko pościeli, bo nie wydawali nam jej. Jechaliśmy koleją transsyberyjską, pociąg szedł poza kolejnością. Z nami jechał tylko komendant pociągu w cywilu i intendent, który wyjeżdżał wcześniej i wyznaczał punkty, w których nas karmiono. Pociąg zatrzymywał się tylko wtedy na stacjach, gdy nie było przejazdu, często stał na przecznicy towarowej 'bo był poza rozkładem/. Dojeżdżaliśmy do wyznaczonych punktów jedzenia, mogła to być noc lub dzień - wszystko jedno - i tam dostawaliśmy jedzenie. Zawsze było bardzo elegancko, w sali dla oficerów, stoliki nakryte, kwiatki itp. Dostawaliśmy porządny obiad i suchy prowiant: chleb, cukier, herbatę, margarynę albo jakiś inny tłuszcz. Jak pociąg stawał na jakiejś małej stacyjce, gdzie był "bazarczyk" to mężczyźni wyskakiwali i kupowali coś - przeważnie ogórki kiszone, kartofle z olejem, więcej nic tam nie było.

W porównaniu z trasą w tamtą stronę krajobraz zmienił się: poprzednio z dwóch stron torów widać było wieże obozów, a teraz /w 55r./ to zniknęło prawdopodobnie obozy zostały odsunięte w głąb. Zresztą po kilku wielkich amnestiach dla skazanych z paragrafów administracyjnych i kryminalnych prawdopodobnie dużo wypuscili na wolność. Wiele osób jednak zaraz wróciło - po popełnieniu pierwszego na wolności przestępstwa. Potem jechaliśmy, jechaliśmy, rozmawialiśmy, graliśmy w różne gry. Największą trudność sprawiało nam przyzwyczajanie się do czasu, bo jechaliśmy ze wschodu i było 11 godzin różnicy i coraz to jedna godzina czasu przybywała, tak że np. o godz. 16-ej bardzo nam się spać chciało, ale staraliśmy się to przetrzymać. Dojechalismy do Swierdłowska, tam poszliśmy do łaźni, było bardzo zimno, ale zobaczyliśmy lody - doskonałe lody - na dworcu, więc najedliśmy się tych lodów i potem dostałam anginy. Miałam wysoką temperaturę, ale ponieważ jechała z nami też "med-siostra" /pielęgniarka/, więc ona robiła mi zastrzyki z penicyliny. A ja bałam się strasznie, że mnie gdzieś po drodze do szpitala odstawią. Był taki wypadek, że w pociągu jechała jedna Polka z dzieckiem, które urodziło się na okręcie, to dziecko zachorowało i zostawili je razem z matką w szpitalu. Później jed-

nak wróciła do Polski.

Dojechalismy do Moskwy, tam pociąg ciągle wekslowali na dworcu towarowym. Stalismy tam całą dobę. Byli nawet tacy, co wyskoczyli, chcąc zwiedzić miasto i początkowo nie mogli trafić do naszego pociągu. Z okien widzielismy oświetlony Kreml, Uniwersytet Łomonosowa...

Jak zbliżalismy się do granic Polski, koło Drohobycza cały eszalon ubrali biało-czerwonymi flagami - na rozkaz kierownika pociągu. Dojechalismy do Żurawnicy Górnej.

na sw. 44 { Bardzo ładnie nas przyjęli w Ułan-de - w Mongolii. Sala, do której nas wprowadzono na obiad była pięknie udekorowana kwiatami, śnieżne obrusy, były nawet serwetki białe. Potem przyszedł do nas z księgą, żeby cudzoziemcy się wpisali...

Weszcze jak stalismy w Moskwie, to przyjechał z ambasady polskiej Polak i jakiś ruski, zaczęli chodzić po wagonach, rozmawiać z nami i oczywiście twierdzili, że jadą wszyscy, którzy chcieli jechać, a kto nie chciał, to został. Najbardziej nas jednak zraził fakt, że Polak mówił po rosyjsku, a Rosjanin po polsku. - bylismy z tego powodu po prostu wściekli. Zaczęliśmy protestować przeciwko tamtemu stwierdzeniu, więc kazali nam zrobić spis - kto został i gdzie. Zrobilismy ten spis i posłalismy do ambasady /zdaje się, że ktos z ambasady przyszedł po to/. Ta interwencja pomogła i część z tych ludzi wróciła.

A pan Janek dojechał z nami do Chabarowska i tam został, ponieważ jego dokumenty nie przyszły /dla innych później te dokumenty dosłano z Magadanu/. W dwa miesiące później dostałam od Janka list z wiadomością, że przyjechał do rodziny do Polski. Potem korespondencja się urwała, ja nie nalegałam na jej podtrzymanie znając jego stosunki rodzinne.

Przyjechalismy do Medyny, potem do Żurawnicy Górnej - tam był punkt repatriacyjny i mysmy byli pierwszym etapem, który przyjechał do tego punktu. Pościel dlatego była strasznie zimna, bo leżała w składach. Ale punkt był bardzo ładnie urządzone, czysto, a strasznie nas rozculiły puchowe poduszki, których nie widzielismy kopę lat! Wszyscy byli bardzo grzeczni i wszyscy bardzo ładnie mówili po polsku. Nie słyszało się tych różnych "matów" itp.

W Żurawnicy Górnej czekaliśmy na dokumenty. Ja byłam tam dobie, dostałam kartę repatriacyjną i jeden tysiąc złotych. Musiałam podpisać, że jestem rehabilitowana i dostałam pełną rehabilitację. Ponieważ wiedziałam gdzie jest rodzina, więc pojechałam do niej - do Białegostoku. Osoby, które nie wiedziały, gdzie jest ich rodzina, dowiadywały się przez punkt repatriacyjny i niektórzy siedzieli tam po parę tygodni, dopóki się rodzina nie zgłosiła, lub sami się nie dowiedzieli gdzie jest i gdzie mają jechać. Jeżeli ktos nie miał rodziny, to proponowali wyjazd w różne miejsca, przeważnie na Ziemię "achodnie".

po powrocie miałam troszkę kłopotu. Mama umarła 3 miesiące po moim powrocie - dostała zawału, po prostu zaczęła niknąć w oczach; to było odprężenie nerwowe.

Jeżeli chodzi o pracę, to były trudności, gdyż był to przełom grudnia i stycznia /55/56/. W końcu przyszedł do mnie ktos z punktu repatriacyjnego z pytaniem, czy ja gdzieś pracuję, ponieważ odpowiedziałam, że nie, bo nie mogę dostać pracy, wobec tego ten urzędnik poszedł ze mną do biura zatrudnienia, do jakich zakładów mleczarskich, bo tam potrzebowali kogoś do planowania. Poszłam z nim, z początku było wszystko o key, bardzo ładnie, kazali przyjść do pracy, a wtedy widziałam się tylko z personalnym. W poniedziałek przyszedłam do pracy, personalny zaczyna się tłumaczyć że: wie pani, tak głupio wyszło, bo mój dyrektor teraz przyjechał, my panią przyjęli, ale to jakoś niezręcznie i nie możemy pani zatrudnić. - Więc ja pytam, co mam powiedzieć w urzędzie zatrudnienia. On mówi, że tam zadzwoni. Dzwoni przy mnie. A przedtem powiedzieli mi już, że oni i tak mają wszystkie nasze dokumenty i trzeba pisać wszystko tak jak było, że się siedziało itd., więc ja tak wszystko napisałam. I słyszę - w trakcie rozmowy personalnego, jak z tamtej strony ktos mówi: to była prawdopodobnie jakas zerodnia polityczna, jak się tyle lat siedziało i że mnie przyjąć nie mogą. - Pan z urzędu repatriacyjnego powiedział jednak, że się będzie starać, że jednak "pani musi tam pracować". Odpowiedziałam, że teraz, to ja tam nie chciałabym pracować, dlatego, że jak mnie przyjmą, to się mnie bardzo szybko pozbędą.

Mimo to, przyszedłam znowu do niego za tydzień. Odpowiedź: partia się nie zgadza. Powiedział też, że ponieważ nie mają zgłoszeń, więc może znejdę coś przez znajomych. I tak się stało: przez znajomych znalazłam pracę, w księgowości co prawda, ale pracowałam zupełnie legalnie.

Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że ten pan, który przyjechał do Posłki i powiedział, żeby mama wyzew wysłała, powiedział również, jego rodzina pisała do Rokossowskiego, więc mama czym prędzej też do niego napisała./napisała do mnie: "Do Kosti napisałam"/. I przyszło do mamy pismo z Min. Spraw Wewn. ZSRR z zapytaniem gdzie ja jestem, w którym miejscu. W jakimś czasie później przyszło drugie pismo informujące, że ja przyjadę najbliższym transportem. A już po¹⁹ śmierci przyszło pismo z zapytaniem, czy ja już wróciłam /mam jeszcze do tej pory to pismo/. Poza tym mama, jak to każda mama, szukała różnych wyjść i napisała zdaje się do Stalina /mam opis odpowiedzi/ i dostała odpowiedź prokuratury generalnej z Moskwy, że zostałam osądzona zgodnie z kodeksem karnym - słusznie i wobec tego moja sprawa nie podlega rozpatrzeniu. Podpisany był generalny prokurator.

[Potem 6 lat pracowałam w Białymstoku, później przeniosłam się do Warszawy. W dalszym ciągu utrzymuję kontakty /i to bardzo serdeczne/ z byłymi współtowarzyszami tamtych lat. Mam nawet chrześniaków spośród ich dzieci

Tamte przeżycia niewątpliwie wpłynęły na mój stosunek do ludzi, do tej rzeczywistości. Przede wszystkim, początkowo bardzo nas raziła drobiazgowość, małostkowość ludzi, jakas niezgoda, o jakies głupstwo, to się za łby brali, i to, że się takimi drobiazgami martwili, jeden drugiemu nie pomógł. Bo u nas to było tak, że po prostu jeden drugiemu musiał pomóc i to było jak jedna wielka rodzina. Dzisiaj jest tak samo, z jednymi utrzymuje się kontakt ścisły, z innymi nie, ale o wszystkich ma się wiadomości. Ja utrzymuję kontakt z grodniankami, inni z lwowiankami, ale pośrednie też są. i jak się spotykamy, to czujemy się, jak w najbliższej rodzinie. Tamte przeżycia pozwalają nam również łatwiej przeżywać tę naszą rzeczywistość. Mam np. taką znajomą, która mawia: "przecież to jest kompletna nędza". A ja zawsze odpowiadam: "pa-

ni Mamo, jeszcze nie ma nędzy, jeszcze mamy chleb..." + jesteśmy bardziej tolerancyjni wobec wszystkiego, nawet wobec władzy, chociaż diabli biorą, że różne rzeczy tam się wywozi, a tu ich nie ma, a wiadomo, że są produkowane.

Jeśli chodzi jeszcze o pierwsze wrażenia w Polsce. to było takie niesympatyczne, że myśmy pozornie byli rehabilitowani, mogliśmy dostać pracę, jaką chcemy, wszędzie mogliśmy być, a w rzeczywistości nie mogłam tej pracy dostać, bo "jestem element niepewny". Później to ja zmyślałam, już nie pisałam całej historii /prawdziwej/, tylko tyle, że od roku takiego i takiego mieszkałam w Związku Radzieckim, pracowałam tu i tu, tak że nawet miałam ciągłość pracy, bo miałam nawet zaświadczenie z pracy w sowchozie z czasu zsyłki. W związku z tym, w pierwszym roku pracy miałam już miesiąc urlopu i do emerytury też to niby powinno się liczyć. Ale ile wliczyli - nie wiem, w każdym razie niedużo. I to bardzo odpychało - bo skoro jesteśmy rehabilitowani, to mamy wszelkie prawa, później do ZBOWiD-u nas nie przyjmowali. Nikt tam co prawda z nas nie pędził, ale ze względu na emeryturę niektórzy chcieli. Ja się tak zraziłam, że do tej pory nie należę.

Relacja nagrana w marcu 1988r.

"SZARA"

Miejscowości

Grodno - więzienie sledcze

Orsza - obóz

Chotinicze - więzienie

Nachodka /Buchta/

Magadan /obóz przejściowy/

Tałonne - obóz

Wakchanka - obóz kobiecy

Rudnik-Budowiczak - obóz męski

Ditrin - podobóz kobiecy

Sciumcik - osada na Kołymie

Sinczan - obóz męski

Oła - zsyłka

Trasa transsyberyjska

Ułan-~~de~~ /Mongolia/

Meyna- Zurawica - punkt graniczny

Białystok

ANTONI JANIK

• Tłumacz Przysięgły

Języków

litewskiego i rosyjskiego

WARSZAWA

Al. Złotoczenia 1 m. 209

tel.

34-03-52

Tłumaczenie z języka rosyjskiego,

P o s t a n o w i e n i e

5 czerwca 1992 roku, Prezydium Sądu Obwodowego w Grodnie, w składzie Przewodniczącego BUJKO I.M. i członków: Gryszkiewicz A.A., Kiczka N.K., Swiekły H.I., ze współudziałem p.o. prokuratora obwodu Grodna Proszina L.G., na posiedzeniu sądowym rozpatrzyło sprawę dotyczącą protestu p.o. prokuratora obwodu, o wyrok wydany przez Wojenny Trybunał wojsk NKWD obwodu Grodna z 19 maja 1945 roku, w którym:

GOLSKA Antonina c.Jana, urodzona w 1896 roku w m.Grodno, Polka, wykształcenie średnie, z robotników, niezamężna, nie sądzona, pracowała jako nauczycielka SSZ N.7 w mst. grodnie, aresztowana 5.01.1945 r. - - - - -

OMELJANOWICZ Bronisława c.Piotra, urodzona w 1893 roku, we wsi Dinkowo, rejonu Kowelskiego, obwodu Rowańskiego, Polka, wykształcenie wyższe, z rodz.urzędniczej, zamężna, nie sądzona, czasowo nie pracowała, zamieszkała w mst. Grodno, aresztowana 13.01.1945 r. - - - - -

KRAJEWSKA Irina c.Antoniego, urodzona w 1913 r. w m.Brześć. Polka, wykształcenie średnie, z rodziny urzędniczej, niezamężna, nie sądzona, mieszkała w m.Grodno, aresztowana 25.12.1944 r. - - - - -

OWCZAREK Jan s.Jana, urodzony 1915 roku w m.Grodno, Polak, wykształcenie średnie, z rodz.robotniczej, kawaler, nie sądzony, pracował w sowchozie Grodzieńskiego obw.Komit.Wyk. aresztowany 9.02.1945 r. - - - - -

zostali osądzeni za wspólne przestępstwo według art.63-1 kodeksu karnego Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej na 10 lat pozbawienia wolności każdy, z pozbawieniem praw na 5 lat każdy, z konfiskatą osobistego majątku, należącego do Golskiej, natomiast Omeljanowicz, Krajewskiej i Owczarka bez konfiskaty, z powodu braku takiego. - - - - -

Ciąg dalszy na następnej stronie . . .

Anton Janik

Wyrok nie podlegał apelacji i nie był rozpatrywany w nadzorowanym porządku. W proteście stawia się problem zmiany wyroku i umieszczenia sprawy w związku z brakiem ^{stanu} działania/faktycznego przestępstwa wszystkich osędzonych. - - - - -

Zapoznając się ze sprawozdaniem członka Sądu Greszewskiego O.K.i wyjaśnienia p.o.Prokuratora obwodu Proszina D.G.,podtrzymującego protest, Prezydium u s t a l i ło:

Zgodnie z wyrokiem osędzeni są uznani jako winni w dokonaniu następujących przestępstw: Golska, Omeljanowicz, Krajewska i Owczarek byli w antyradzieckiej polskiej organizacji, do której wstąpili: Golska w 1940 r., w której wykonywała funkcje łączniczki i w lutym 1941 roku była aresztowana przez NKWD, a w lipcu 1941 roku była zwolniona z więzienia przez niemieckie władze. Po powrocie do Grodna, Golska w jesieni 1942 r. ponownie ustaliła więź z antyradziecką polską organizacją "AK" i w 1943 roku złożyła przysięgę na wierność pracy dla tej organizacji i przyjęła pseudonim partyjny "Szarotka". Po złożonej przysiędze była mianowana szefem oddziału wojskowej służby kobiecej 13 obwodu. Będąc szefem Golska rozpoczęła werbowanie nowych członków i przez nią były zwerbowane Omeljanowicz, Małycka i inne, od których przyjmowała przysięgi. Miała łączność z komendantem obwodu Lubasewskim, Chlebowiczem i innymi z okręgu Białostockiego, od których otrzymywała różne instrukcje, przykazy, oraz ulotki antyradzieckiej treści, które rozpowszechniała między członków organizacji oraz ludności polskiej. Dysponowała środkami pieniężnymi organizacji i kierowała pracą Omeljanowicz i Krajewskiej.

Omeljanowicz W.P. wstąpiła do nacjonalistycznej organizacji "Armii Krajowej" w jesieni 1942 r. złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim partyjny "Czarna". - - - - -

Ciąg dalszy na następnej stronie . . .

Od momentu wstąpienia do organizacji nawiązała łączność z Golską, pod jej przewodnictwem pracowała, a oprócz tego ustanowiła więź z szefem oddziału wywiadu "Jastrząb", gdzie wykonywała obowiązki łączniczki i zwiadowca. Po aresztowaniu "Jastrzębia" Omeljanowicz pracowała pod przewodnictwem Golskiej przy udzielaniu pomocy rodzinom członków organizacji "Armii Krajowej" do chwili aresztowania Golskiej. - - - -

Krajewska I.A. wstąpiła do organizacji "AK" w 1942 r. Złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim partyjny "Brzoza" a po tym zmieniła pseudonim na "Szara". Przy wstąpieniu była mianowana szefem oddziału "Szarych szeregów"/organizacja młodzieżowa/ na terytorium miasta Grodna. Będąc szefem zwerbowała do organizacji Marię Buchalę, Annę Stasińską, Teresę Białas, od których przyjęła przysięgę i zobowiązała ich do przeprowadzania werbowania nowych członków. W rezultacie zorganizowano młodzieżowe zjednoczenie z "Armią Krajową". Wspomnianą młodzież ona szkoliła z wojskowo-sanitarnej wiedzy, zbierała różne medykamenty, które przechowywała u członków organizacji. Krajewska ze swojej pracy rozliczała się przed Golską. - - - - -

Owczarek J.J. - Z przyjściem jednostek Armii Czerwonej i wprowadzenie władzy Radzieckiej na terytorium obwodu Grodzieńskiego tj. od lipca 1944 r. Owczarek ustalił więź z polską antyradziecką organizacją "Armią Krajową" w Grodnie przez członków tej organizacji rodziny Chlebowicz, u których będąc łącznikiem dostarczał od nich dla Golskiej różne przykazy, instrukcje i ulotki kontrrewolucyjnej treści, jak również środki pieniężne. - - - - -

Rozważając dowody protestu i po sprawdzeniu materiałów

Ciąg dalszy na następnej stronie . . .

Janina Janik

sprawy, Prezydium uważa, że protest jest uzasadniony, podlegający zadowoleniu z następujących powodów .

Jak widać z materiałów sprawy, osądzone Golska, Omeljanowicz, Krajewska wstąpiły do organizacji "AK" w czasie okupacji Grodna przez Niemców. Werbowwały młodzież do "AK" w celu nauczania ich z dziedziny wojskowo-sanitarnej, zbierały pieniądze, rzeczy pomocnicze, szyły ubrania aby pomóc dzieciom, których rodzice byli aresztowani przez niemieckie władze za udział w organizacji "AK". W momencie oswobodzenia Grodna od niemieckich okupantów przez jednostki Armii Radzieckiej Golska, Omeljanowicz i Krajewska zaniechały pomocy praktyczną na korzyść "AK" i żadnej działalności skierowanej na rozsądzenie, obalenie lub osłabienie władzy radzieckiej nie dokonywały. Znalezione i zabrane u Golskiej rozmaite instrukcje, przykazy, wskazówki kierownictwa "AK" i antyradziecką korespondencję przez nią nie rozpowszechnianą wśród członków organizacji i ludności miasta Grodna. Osądzony Owczarek w czasie posiedzenia Sądu powiedział, że z Golską zapoznał się w mieszkaniu policjanta Chlebowicza w lipcu 1944 roku, przed wycofaniem się Niemców z Grodna. Od żony Chlebowicza on przekazał dla Golskiej 20 dolarów na gazety i antyradzieckie ulotki, jednak nie wiedział, że to jest połączone z podziemną organizacją.

W takich okolicznościach, Prezydium uważa, że w działaniach osądzonych Golskiej, Omeljanowicz, Krajewskiej i Owczarka brak stanu przestępstwa wg. art. 63-I kodeksu karnego Białoruskiej SRR, w związku z czym oni podlegają rehabilitacji.

Na mocy prawnej i opierając się na art. 397 Postępowania kodeksu karnego Prezydium Republiki Białoruskiej

P o s t a n o w i ł o :

2. Ciąg dalszy na następnej stronie . . .

[Handwritten signature]
A. I. I. I. I.

- Wyrok Wojkowego Trybunału Wojsk NKWD obwodu Grodzieński
z 1945 roku maja 19 dnia w stosunku Golskiej Antoniny c. Jana
Omeljanowicz Bronisławy c. Piotra, Krajewskiej Iryny c. Anton
i Owczarka Jana s. Jana - u c h y l i ć i sprawę przerwać z
powodu braku danych w ich działalności przestępstwa.

PRZEWODNICZĄCY / Bujko I.A./ - - - - -

Kopia zgodna z oryginałem. Osłonek-referent /-_/podpis nie
Pieczeń okrągła z godłem państwowym BSRR w środku i napis
na obwodzie słabo czytelnym.

Repertorium Nr ~~441/93~~

Ja, ANTONI JANIK, tłumacz przysięgły
z siedzibą w Warszawie stwierdzam zgodność
dokumentu sporządzonego z oryginałem
dokumentu sporządzonego w ję. rosyjskim
Warszawa, dnia 1993 roku października 12 dn.



A stylized handwritten signature in dark ink. Below the signature, the name "Antoni Janik" is printed in a small, sans-serif font.